
Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

PRZEZ KRAJ CZERWONEGO CARATU



TADEUSZ HOŁÓWKO

TADEUSZ HOŁÓWKO

PRZEZ KRAJ CZERWONEGO CARATU

(PRZEZ DWA FRONTY — cz. II)

Z PRZEDMOWĄ
WOJCIECHA STPICZYŃSKIEGO

WARSZAWA 1931
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA

ODBITO 3200 NUMEROWANYCH
EGZEMPLARZY

№ 001881

31117/2



WSZELKIE PRAWA PRZEKŁADU I PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ" WARSAW 1931

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelążka
Warszawa. Plac Trzech Krzyży 8
DRUKARNIA WSPÓŁCZESNA W WARSZAWIE

PRZEDMOWA

Dostajesz Czytelniku pracę niedokończoną, a raczej zaczętą zaledwie.

Wartki, barwny i lśniący refleksami żywiołu życia tok wspomnień, przerwał piorun straszliwej tragedji. Tam, gdzie przygodnie ostatnia kropka zamyka urwany rycerski epos iszczącego się snu o szpadzie — zaczyna się okropna rzeczywistość tej tragedji. Wiadoma a niepojęta, ludzka a uczuciom ludzkim niedostępna. Obcować z nią trzeba, pogodzić niepodobna.

Praca niedokończona.....

Życie w pełnej rozkwitu bujności — morderczych kul gradem rozdarte.....

Duch w lotu zenicie — twórczej pozbawiony mocy.....

Na miejscu zajmowanem przez niespożytą kuźnicę dobrego czynu, ucieleśnioną przez naturę w pełnej pociągającego wdzięku postaci ś. p. Tadeusza Hołówki, — skąd, ponad bezbarwną miazgę ponurej treści epoki, promieniował jeden z duchów wzniosłych, — na miejscu przez takiego zajmowanem człowieka, nad takiem sercem i duszą tak słoneczną, nikczemność ludzka usypała kurhan mogiły.

Nad szlachetnością chwilowy — wierzymy, że pozorny — odniosły triumf instynkty złe, najgorsze.

Ani od tej mogiły, ani od tego z pośród czarnych najczarniejszego triumfu, myśl nasza nie może i nie chce się oderwać. Nietylko dlatego, że los tak straszny spotkał serdecznego, czułego, niezastąpionego Przyjaciela i że żadna moc, ani do heroizmu posunięta wytrwałość pracy wyobraźni, nie zdołają uzmysłowić Go nam zamkniętym w wąskiej szczelinie ziemi i tak już wieczyście na wszystko obojętnym, i tak już całkowicie w dostojność wieczności pogrążonym, że zmysłom naszym niedostępnym.

Nietylko, — bo ból, bo gorycz, bo cierpień jęk, nie są ze świata wzruszeń, w którym duch ludzki przebywa bez nieodpartej konieczności, bez imperatywu, w danym wypadku nie leżącego w okolicznościach zewnętrznych, w czynnikach materjalnych.

Okropna symbolika tej mogiły — oto właśnie siła, która nam każe tkwić całą myślowością w bolesnym jej kręgu.

A legła ta mogiła tak szeroko na naszej drodze, że ominąć jej nie można. Zawarła się w niej tak rewoltująca siła refleksji, rozlała się wokół niej fala rzeczywistości tak ponurej, wyrastają z niej pytania tak bezwzględne i o doniosłości tak niezaprzeczonej, że zdobyć się wobec tego na obojętność — to zadać sobie dobrowolnie kalectwo ślepoty.

Mam głęboką pewność, że ludzie, którzy znaleźli powołanie w służeniu ludzkości, a zatem wzięli na swe barki zadanie wpływania na kierunek jej losów, popełniliby brzemienny w następstwa błąd, wychodząc w tym wypadku na spotkanie naturalnej skłonności umysłów, znużonych zgiełkiem naszej epoki, do oceniania zjawisk miarą ich efektów zewnętrznych.

Gdyż ludzkość może opanować i poddać dyscyplinie rozumu największe rewolucje giełdowe, załamanie się wszystkich walut świata, wszystkie kryzysy materjalne i nawet wszystkie złe namiętności, zrodzone z trwogi i niedorzecznych wyobrażeń, — lecz jeśli nie stanie ona świadomie i stanowczo do walki z nurtującem ją znikczemnieniem etycznych norm współżycia, jeśli nie pokona straszliwego zwyrodnienia duszy, z którego wyrośli mordercy ś. p. Tadeusza Hołówki, — nie uniknie ona tragedji, w której zezwierzęcona nikczemność pochłonie wszelką szlachetność, a potem cały dorobek kultury ducha i ustanowi panowanie pięści, brzucha i chciwości.

Na przestrzeni lat powojennych nie brak powtarzających się, w różnych punktach starego kontynentu, oznak dojrzewającej katastrofy — mieliśmy je niestety i w Polsce, — lecz żadna z nich nie wydaje się być bardziej alarmująca, niż tragiczny zgon ś. p. Hołówki. Ponieważ świadczy ona, że mimo oddalania się ludzkości od niszczycielskiego cyklonu wojennego element bestjalski w naturze ludzkiej nie poddaje się dyscyplinie ducha,

i nie dość na tem, — ponieważ charakter dokonanej zbrodni obnażył rewelacyjną prawdę o postępującem zwyrodnieniu i porastaniu w siłę tego elementu.

Dotychczasowy bieg dziejów obyczaju, norm etycznych w gromadzie człowieczej — nie daje żadnej pewności, iż w łonie ludzkości nie zatriumfuje duch biblijnego Kaina.

Cóż tańszego na świecie, w odczuwaniu powszechności, nad życie ludzkie?

W wyborze między chęcią zysku materjalnego, pragnieniem bogactwa lub potęgi, a życiem setek tysięcy i miljonów współobywateli, poczucie moralne społeczeństw i narodów jakże często wybiera pożądania! U podstawy ogromnej ilości wojen cóż leży, jak nie ta prosta, przeokropna filozofja!

Cena życia ludzkiego zajmuje ostatnie miejsce w rejestrze celów życia — niema tak małych i tak nonsensownych, których jeden człowiek nie ważyłby się osiągać kosztem życia innego człowieka. Na uprawie długiego zastępu rzekomych ideałów, uważających człowieka i jego przyrodzone prawo do życia za nawóz pod triumf wszelkiego kłamstwa, odzianego w togę patosu, — krzewi się ponura wynalazczość w sztuce mordowania się ludzi, przynosząca sławę najbardziej wyrafinowanym mordercom; rodzą się prywatne „ideały“, upoważniające do zbrodni sięgania po cudze życie, chociażby dla zaspoko-

jenia chęci zarobku, pożądań, czy nawet nasycenia uczucia nienawiści.

Od średniowiecznych turniejów rycerskich, w których utopienie kopji w sercu przeciwnika przynosiło triumfatorowi uznanie i wdzięki bogdanki — do czasów dzisiejszych, gdy wyrafinowany mord przynosi bohaterowi sławę światową i tysiące ofert erotycznych a nawet majątkowych, — jest zaiste ogromny postęp, tylko jakże przeokropny, jak ponuro złowieszczy!

Lecz nawet historja takiej obyczajowości nie zna zbrodni podobnej w treści moralnej, do dokonanej na osobie ś. p. Tadeusza Hołówki.

Na podobieństwo słabego człowieka, co za brak siły powstrzymania się przed wchodzeniem w konflikty z własnem poczuciem moralnem, szuka ekspiacji w ukorzeniu się przed majestatem tajemnicy niebios świetlistych i w aktach miłosierdzia wobec cierpiących bliźnich, — ludzkość, w podświadomem poczuciu wielorakich win, otaczała szacunkiem duchy wzniosłe, tworzące w szlachetnym kruszcu serca, krzewiące radość wyższej misji ducha ludzkiego do ustanawiania szczęścia na ziemi, do którego droga, — jedyna i wyłączna, prosta i ofiarna, — prowadzi przez umiłowanie człowieka.

W ten sposób ludzkość, dźwigająca się ze zdumiewającym trudem z nizin animalizmu, na których się poczęła, manifestowała swoje aspiracje rozwojowe i w rze-

czywistości dzieje nie dostarczają innej pożywki optymistycznej wierze w przyszłość ludzkości, nad girlandę tych manifestacyj.

Skazany na walkę życiową, na borykanie się z obojętnością, zawiścią i aktami wrogości, — człowiek skwapliwie garnął się ku rzeczywistej przyjaźni i dobroci, ku współczującemu i kochającemu sercu.

I wreszcie zdarzyło się, że człowiek zbuntował się przeciw wzniosłości i wiernej przyjaźni, — że serce ś. p. Tadeusza Hołówki przeszyte zostało kulami, dlatego, że nie kryło nic prócz braterskiej miłości dla tych co go mordowali, — że celem zbrodni stało się zniszczenie żywej takich właśnie uczuć skarbnicy.

W walkach narodowych różne i liczne padały ofiary. Lecz niech nikt nie waży się używać tu argumentów tej kategorji, bo w historji walk narodowych niema przykładów takiej nikczemności, by jedna ze stron mordowała najbardziej widocznego, otwartego i oddanego sobie przyjaciela po stronie przeciwnej.

Nikczemność tej rewelacji w dziejach ludzkich, nieodwołalnie dyskwalifikuje na forum kulturalnego świata pobudki zbrodniczego czynu i atmosferę, która je wychodowała.

A właściwie atmosferę przedewszystkiem.

Czas bo najwyższy, byśmy przestali się nareszcie łudzić bajkami o „indywidualnych czynach“, gdy chodzi o zbrodnie, zwłaszcza polityczne.

Owe „indywidualne czyny“ wyrastają w odpowiednim a wielce specyficznym klimacie, który je poprzedza. Są one wykładnikiem pojęć etycznych większych lub mniejszych zbiorowisk, — zbrodniarz wymierzający rewolwer przeciw odsłoniętej piersi swej ofiary jest pewien, że czyn ten zapewnia mu gloryfikację, laur bohatera, może nawet męczennika.

Sięgnijmy pamięcią wstecz, — przed kilkunastu laty „indywidualny czyn“ zabójstwa Głowy Państwa, jakże szeroką i długotrwałą uczczony był gloryfikacją, jak przerażająco licznym okazał się ówczesny „indywidualny“ zbrodniarz. Przytulił go nawet kościół, — i w szeregach jego sług jakże wielu zapomniało o misji etycznej swego stanu.

. . . . . .

Otworzyła się przed nami przepaść przeogromna. Rozpoczyna się tuż za mogiłą ś. p. Tadeusza Hołówki, a gdzie kończy?... — nie wiemy. Nie wiemy nawet tego, czy się wogóle kończy; czy gdzieś poza skłonem ponurego horyzontu istnieje jakiś jej brzeg drugi i czy jest jeszcze jakaś ku niemu droga.

Służyć ludzkości!..... — ale jakiej?

Prowadzić ją!..... — lecz dokąd?

I wreszcie kto ją prowadzić będzie, gdy już po — nietykalną dotychczas — wzniosłość wyciąga ręce rozbe-

stwiony Kain naszego wieku i na jej trupie swoich „ideałów“ wznieść pragnie dyktaturę?

Na dystansie naszej drogi, zamkniętym krwawą klamrą grobu ś. p. Tadeusza Hołówki, żyliśmy rzeczywistością pełną złowieszczych gróźb, lecz nie rozstawaliśmy się z nadzieją, że ludzkość nie zaniecha drogi pracowitego mnożenia dorobku kultury duchowej, uszlachetniając bagaż pojęć, odczuć, reakcyj i ideałów.

Ten grób pochłonął nadzieje, — zrodził dylematy.

Ciężkie jak los, twarde jak śmierć, bolesne jak niemoc.

W odartej ze złudzeń rzeczywistości moralnej świata, czegóż oczekiwać można od polityków i ekonomistów?

Cóż zdziałać może najlepsza nawet z ich strony wola i wiedza, jeśli ludzkość, oddalając się śpiesznie od wszelkich podstaw moralnych, będzie coraz bardziej zdolna jedynie do gestów rozpaczy i aktów szaleństwa?

Jaki gatunek polityków i ekonomistów dochodzić będzie w najbliższej przyszłości do władzy z woli tak ciężko chorej ludzkości? — czy silna dzisiaj niezmiernie w polityce i ekonomice światowej przymieszka bluffu i mistyfikacji nie stanie się jej treścią jedyną? — czy szaleni przywódcy szalonych gromad nie stoczą się wraz z nimi aż na dno otwartej przepaści, gdzie ostatecznie zatriumfuje uzbrojony w nóż powszechny obłęd, by przy zastosowaniu najbardziej zracjonalizowanych metod i najświetniejszych zdobyczy cywilizacji zamienić Jej Dostoj-

ność Ludzkość w stos bielejących piszczeli i rozbitych czaszek, w których — o dziwo! — badacze przeważnie nie znaleźli substancji produkującej myśl.

I może dopiero jakieś niedobitki, jakieś ludzkie resztki kataklizmu, dusząc się w oparach morderczych gazów, brocząc we krwi, dźwigając z trudem głowy przepełnione rozpaczą, poczną zwoływać się lękliwie i układać nowe prawa życia: pierwsze — „Nie zabijaj"!.....

O! niecofniona mogiło Przyjaciela! — wymowa Twoja jakże bogata, jakże majestatem ofiary uroczysta, jakże rewelacyjna.

Czyż trzeba Ci było Przyjacielu Niezapomniany zamilknąć na wieki w sposób tak tragiczny, byś stał się żywym głosem, wołającym o odsiecz dla zagrożonej przez wszelkie nikczemności duszy ludzkości, — byś stał się drogowskazem wieszczącym, iż nie inna, jeno droga tworzenia nowych i sprawiedliwych i trwałych norm etycznych, odrodzenia z ducha, wywieść może świat na drugi brzeg przepaści.

Wielkość Twej roli — wielkości chyba jedynie tragedji Twej równa.

Bo to wiemy z całą pewnością, całą świadomością rozpiętej na szerokiej panoramie dziejów myśli, że ofiara Twa nie jest bezpłodna.

Jeśli trzeba wstrząsów niezmiernych, by wyzwolone

z pajęczyn mózgowych kalkulacyj przemówiły sumienia, to wstrząs taki nastąpił.

Niech zatem mówią sumienia, niechaj się więc poprzez śmierć rozpoczyna święte zwycięstwo ideałów, zapłodnionych męczeńską krwią jednego z najświetniejszych ich chorążych.

Niech mówią sumienia nasze, gdy On mówić nie może.

A mówić chciał, a serca swego i rozumu ideały krzewić namiętnie pragnął. Zawsze żywiołu wrącego pochodnia, w ostatnim okresie życia ś. p. Tadeusz Hołówko był jakby jeszcze mocarniejszy, jeszcze w dążeniu naprzód szybszy i jeszcze bardziej krzepki.

Duch Jego rozprężał się potężnie, rozrastał — Polskę nim całą objąć pragnął, czynów jej przysporzyć wielkich, wiekotrwałych.

Nurtowało Go wzrastające poczucie historyczności powołania życiowego. Nurtowało i męczyło.

W roztkliwiających, tęsknych listach do żony i maleńkiej córeczki, na parę dni przed śmiercią donosił o snach niespokojnych, o przeczuciach wielkich, — był w marszu.

Najsubtelniejszy dar intuicji nie mógł wtajemniczyć Go, jak dziwną Los wybrał dlań drogę wielkości.

Nie przypuszczał, a wierzmy, że i w ostatniej chwili życia uświadomić sobie nie zdążył, że największe dzieło

Jego ducha rozpocznie się w chwili, gdy w nędzną pościel hotelowego łóżka w Truskawcu, godziną wieczorną i taką skądinąd zwykłą, do innych podobną, wsiąknie wszystka krew z Jego serca, — znienacka, nagle, podstępnie rozdartego przez zbrodnię.

Zamilkł.

A przecież przemawia i mówić będzie długo i mówić doniośle, — przez nasze mówić będzie sumienia.

Wojciech Stpiczyński.

PRZEZ FRONT UKRAIŃSKO-BOLSZEWICKI

I

Dworzec był pusty. Panowała tu cisza i spokój. Raziło to tem silniej, że spokój ten był jaskrawem zaprzeczeniem nieustającego ruchu, zgiełku i gorączkowego pospiechu tragarzy i pasażerów, kojarzącego się zwykle w naszej świadomości z pojęciem dworca.

Panienka siedząca za okienkiem kasy spojrzała na mnie z wyraźnem zdziwieniem — widocznie rzadkiem w tych czasach zjawiskiem był pasażer, kupujący bilet kolejowy. Poprosiłem o bilet III kl. do Konotopa.

— Pociągi — wyjaśnia panienka — do Konotopa nie dochodzą. Bilety sprzedajemy tylko do Nieżyna, gdyż dalej zaczyna się front ukraińsko-bolszewicki. Można pozatem dojechać do Bachmacza, bo tam dochodzą — coprawda niebardzo regularnie — pociągi z Nieżyna, ale bilety do Bachmacza może nabyć jedynie posiadający specjalną urzędową przepustkę.

Wydobyłem dokument Centralnej Rady Ukraińskiej, dostarczony mi przez Domosławskiego przed wyjazdem, a zaświadczający, że podróżuję służbowo z ramienia Komisarjatu do spraw narodowościowych. Dokument ten całkowicie przekonał kasjerkę. Wręczyła mi

natychmiast bilet do Bachmacza, jeszcze raz uprzedzając, że do stacji tej normalnego ruchu pasażerskiego niema.

Uprzejmie jej podziękowałem i udałem się na poszukiwanie mego pociągu. Po kilkakrotnych zapytaniach odnalazłem go wreszcie. Stał dość daleko od stacji, na bocznym torze o wysokim nasypie. Mimo szumnej nazwy pociągu pasażerskiego, — składał się ze zwykłych wagonów towarowych. Ulokowałem się w jednym z nich. Zbytniego natłoku podróżnych nie było. I znów uderzyło mnie zjawisko, które już zaobserwowałem jadąc do Kijowa, — te same pochmurne twarze, to samo milczenie i unikanie nawiązywania znajomości. Nikt nie opowiadał kim jest i jaki jest cel jego podróży, nie wypytywał też o to innych. Ta powszechna dyskrecja i milczenie całkowicie odpowiadały i moim własnym nastrojom.

— Tak, ci ludzie mają rację — myślałem obserwując pasażerów — w tych niepewnych czasach to najlepsze.

Z wyrazu twarzy, urywanych zdań i zachowania się moich nowych towarzyszy podróży wnioskowałem, że są to Rosjanie, którzy powracają do domów, uciekając z tego kraju, który nagle oświadczył, że nie jest żadną Rosją a Ukrainą, która wolała pokumać się z wczorajszym jeszcze wrogiem — Niemcami, by przy jego pomocy uniezależnić się od Moskwy.

Moi towarzysze podróży byli przeważnie prostymi ludźmi, lecz czułem, że wśród nich niema ani jedne-

go, któryby nie myślał z nienawiścią o tej Ukrainie z jej Centralną Radą i „sinemi żupanami", i nie uważał tych wszystkich Ukraińców za zwykłych zdrajców swego rosyjskiego narodu i państwa. Czułem ten nastrój chociaż wszyscy byli powściągliwi i bez wyjątku wszyscy zachowywali się podejrzliwie i nieufnie, tembardziej, że znajdowali się jeszcze w stolicy tej nienawistnej im Ukrainy.

Gdybym pochwalił się dokumentami, świadczącymi, że jestem rzekomym funkcjonarjuszem Centralnej Rady Ukraińskiej i na dobitkę Polakiem — odrazu wytworzyłby się wśród wszystkich mych towarzyszy podróży wrogi mi nastrój.

Nikt nie mówił dokąd jedzie, lecz czułem, że wszyscy jadą dalej niż do Bachmacza, a więc, że będę zmuszony wspólnie z nimi odbyć dłuższą podróż i że przyjdzie chwila, gdy role zmienią się i gdy oni, znalazłszy się u siebie, mogą mi służyć pomocą lub wręcz przeciwnie — oddać w ręce władz sowieckich. Nie miałem bowiem pewności czy w wagonie nie znajdowali się ideowi komuniści lub bolszewiccy wywiadowcy i szpiedzy. Dlatego i ja milczałem, — wolałem udawać Rosjanina. Czułem jednak, że jeśli mnie ktokolwiek zapyta o narodowość — nie zdołam wyprzeć się, że jestem Polakiem. Wiedziałem, że byłoby to głupie, gdyż mówię po rosyjsku jak rodowity Rosjanin, jednak szczerość i — być może śmieszna w tych warunkach — duma narodowa,

nie pozwoliłyby mi na to kłamstwo. Dlatego też zachowywałem się tak, by każdy mógł przypuszczać, że i ja jestem Rosjaninem, jadącym do Moskwy lub Samary — lecz jednocześnie nikogo nie zaczepiałem i nie wychodziłem na spotkanie bardzo ostrożnym i ledwie uchwytnym indagacjom mych sąsiadów.

Wolałem milczeć i z tej jeszcze racji, że sumienie moje nie było zbyt czyste i spokojne. Przedewszystkiem budziła we mnie zrozumiały niepokój świadomość, że jestem w posiadaniu dokumentów wzajemnie siebie kompromitujących. Miałem bowiem przy sobie nietylko dokument wydany przez Komisarjat Narodowościowy Centr. Rady Ukraińskiej lecz i zaświadczenie w języku rosyjskim, wystawione przez P. P. S. w Kijowie, a polecające mnie władzom partji komunistycznej, jako udającego się do nich delegata Centr. Kom. P. P. S.

Ten ostatni dokument schowałem dość dowcipnie. Kupiłem mianowicie dwie pary rękawiczek i włożyłem jedną na drugą, robiąc z nich jedną parę. Między jedną rękawiczkę a drugą włożyłem dokument pisany na dość cienkim papierze. Rękawiczka w ten sposób spreparowana, zarówno na ręku jak zdjęta, robiła wrażenie jednej i trudno było domyśleć się, że wewnątrz znajduje się papier. W razie zaś surowej rewizji dość łatwo mógłbym rękawiczkę „zgubić".

Świadomość jednak, że znalezienie takiego dokumentu odrazu skompromitowałoby mnie w oczach władz

ukraińskich, nie mogła mi dodawać zbytniej pewności siebie.

Jeszcze bardziej denerwowała mnie myśl o brauningu. Wiozłem go od samej Warszawy i mimo tylu przygód ani razu de facto nie zrobiłem z niego użytku, a gdy raz w Dunajowcach zademonstrowałem moją broń, to omal nie wywołałem katastrofy. Innemi słowy był on raczej ciężarem niż pomocą. Domosławski przed wyjazdem bardzo mnie namawiał bym go pozostawił, gdyż będę miał z nim tylko kłopot i przykrości, ponieważ pograniczne oddziały ukraińskie podczas rewizji mniej zajmują się dokumentami, natomiast pilnie szukają broni, którą rekwirują, a wobec ukrywających stosują represje, nie cofając się nawet przed rozstrzelaniem. Również oddziały bolszewickie łase były na broń. Jednem słowem względy praktyczne przemawiały za tem, bym broń pozostawił w Kijowie.

Żal mi jednak było i wstyd rozstawać się z bronią ofiarowaną przez przyjaciół z Pogotowia Bojowego P. P. S. Wiedziałem, że zasadą ich było nigdy nie rozstawać się z bronią i zawsze mieć ją pod ręką. Lecz że nie byłem bojowcem, a tylko zwykłym politykiem, włóczącym się po tych bezgranicznych przestrzeniach w poszukiwaniu wojska polskiego, więc zdecydowałem się na niezbyt mądry kompromis. Zabrałem swój brauning, ale w ten sposób, że zawinąłem go w ręcznik i włożyłem do plecaka pomiędzy kilka zmian bielizny, które miałem ze

sobą. W ten sposób sprawdzając nawet ręką od zewnątrz zawartość plecaka, nie wyczuwało się nic prócz miękiej bielizny. Jednakże świadomość, że brauning znajduje się w plecaku, mimo woli psuła mi humor. Słowem, nie miałem powodów do zbytniej szczerości, — dlatego milcząco i pochmurnie obserwowałem równie pochmurnych i nieufnych towarzyszy podróży.

Nikt nie wiedział kiedy pociąg ruszy. Mijał kwandrans, pół godziny, godzina — a pociąg stał na miejscu. Pasażerom począł nudzić się pobyt w ciemnych i wilgotnych wagonach, tembardziej, że dzień był słoneczny i ciepły. Jeden po drugim wychodzili z wagonu i rozkładali się na zboczu nasypu kolejowego, nastawiając twarze pod łagodne, ciepłe promienie wiosennego słońca. Po pewnym czasie uczyniłem to samo i ja. Niedaleko odemnie położył się jakiś żołnierz. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, o długich czarnych wąsach. Mimo zwykłego stroju żołnierskiego robił wrażenie inteligenta.

— Zapewne oficer — pomyślałem — albo „praporszczyk".

Ta ostatnia ranga, odpowiadająca naszym chorążym, była bardzo rozpowszechniona w armji rosyjskiej. Otrzymywali ją pod koniec wojny zasłużeni podoficerowie i sierżanci, którym brak cenzusu naukowego nie pozwalał otrzymać rangi podporucznika.

Wąsacz obserwował mnie ukradkiem. Wyraz twarzy miał poczciwy, wzbudzający zaufanie. Leżeliśmy przez

chwilę milcząc. Po pewnym czasie zaczepił mnie pierwszy:

— Dokąd Pan jedzie?

Spojrzałem na niego i odruchowo odpowiedziałem szczerze:

— Do Moskwy.

— Ja również do Moskwy — do domu.

— A to dobrze — powiedziałem — będziemy trzymać się razem.

— Bardzo chętnie. Raźniej człowiekowi, gdy ma towarzysza podróży.

Ze swej strony i ja ucieszyłem się bardzo, bo istotnie samotność w drodze, zwłaszcza odbywanej w podobnych warunkach, jest męcząca.

Wkrótce nawiązała się między nami rozmowa. Kierowałem nią tak, by możliwie jaknajmniej mówić o sobie, a jaknajwięcej dowiedzieć się o mym nowym znajomym. Okazało się, że był to, jak przewidywałem, starszy sierżant z pułku, który zukrainizował się, wobec czego jego jako Rosjanina, pochodzącego z pod Moskwy, formalnie zdemobilizowano i zaopatrzono w odpowiedni dokument podróży, upoważniający do opuszczenia granic Ukrainy. Był to zatem doskonały towarzysz, nietylko niekompromitujący, ale nawet osłaniający mnie.

Najbliższym celem jego podróży był również Konotop, skąd podobno już dość łatwo można było przedostać się na stronę bolszewicką.

Minęła jeszcze dobra godzina, a pociąg wciąż stał. Nikogo to zresztą nie denerwowało ani też dziwiło, — widocznie było to normalne zjawisko na kolejach. Popołudniu zjawili się konduktorzy i zapowiedzieli rychły odjazd. Istotnie wkrótce pociąg ruszył.

Po paru godzinach pociąg zatrzymał się w Nieżynie, gdzie natychmiast do wagonu wkroczyło kilku żołnierzy ukraińskich. Należeli do słynnego pułku „sinych żupanów". Mieli na sobie mundury niebieskiego koloru, na głowach wysokie, barankowe czapki.

Sądząc, że będą sprawdzać dowody, trzymałem w pogotowiu mój ukraiński dokument. Tymczasem ku memu zdziwieniu nie zażądali wcale okazania dokumentów, lecz zapytali jedynie kto ma broń, grożąc surowemi represjami każdemu, kto jej dobrowolnie nie odda.

Wszyscy jednogłośnie oświadczyli, że broni nie posiadają.

— Przyznajcie się szczerze — nastawali w języku ukraińskim — bo zaraz przystępujemy do rewizji i biada temu u kogo broń znajdziemy. Niejeden z tych co ją ukrywali już ziemię gryzie.

Zrobiło mi się dość głupio. Nie wiedziałem dobrze co mam robić. Okazać dokumentu ukraińskiego nie chciałem, bo to kompromitowało mnie w oczach Rosjan, z którymi dalej miałem jechać. Z drugiej strony chwalić się dokumentami, udawać dygnitarza ukraińskiego, nie znając języka tego narodu i wyciągać z ręcznika brauning —

to ryzykować wywołanie dość zrozumiałej nieufności u przedstawicieli armji ukraińskiej. Zdecydowałem zatem milczeć.

Gdy zwrócono się do mnie bezpośrednio z zapytaniem o broń, odpowiedziałem, że jej nie posiadam.

Żołnierze przystąpili do rewizji tobołów i plecaków pasażerów. Mój plecak leżał w kącie, niedaleko odemnie. Nie zbliżałem się do niego, sądząc, że mnie ominie rewizja. Tymczasem rewidenci zachowywali się dość brutalnie, wyrzucając na podłogę ubogą zawartość plecaków — brudne ręczniki, koszule, woreczki z cukrem i herbatą, paczki tytoniu.

Broni nigdzie nie znaleziono. Rewidujących żołnierzy wyraźnie zaczęło ogarniać zniechęcenie — przeglądali rzeczy coraz powierzchowniej. Wreszcie jeden z żołnierzy kopnął mój plecak.

— Czyj to? — zapytał po ukraińsku.

— Mój — odpowiedziałem po rosyjsku.

— A co w nim jest?

— Co w każdym innym — trochę bielizny.

— A broni niema?

— Gdyby była powiedziałbym odrazu, pocóż miałbym ukrywać — odpowiedziałem spokojnie, śmiało patrząc w oczy obserwującemu mnie uważnie żołnierzowi, który nawet nie kazał mi rozwiązać plecaka.

Rewizja została ukończona. Żołnierze opuścili wagon, pozwalając i nam wyjść na stację.

Skorzystałem z tego, aby pójść do bufetu napić się herbaty i coś zjeść, gdyż od rana nie miałem nic w ustach.

Na dworcu panował duży ruch, — pełno było oficerów i żołnierzy ukraińskich. Widocznie stał tu większy oddział. Bufet był przepełniony — przy wszystkich stolikach siedzieli oficerowie, wesoło gawędząc.

Uwagę moją zwrócili trzej oficerowie w mundurach pułku „sinych żupanów". Z czubków ogolonych głów każdemu zwisał długi, starannie wypielęgnowany „oseledec".

— Prawdziwi zaporożcy z obrazu Riepnina — pomyślałem, obserwując tę grupę i podziwiając jaskrawy przejaw patrjotyzmu, w imię którego zdobyli się na tak dziwaczne i śmieszne poświęcenie swych czupryn.

Zamówiłem herbatę i siadłem w pobliżu tych patrjotów ukraińskich. Jakież było moje ździwienie, gdy przysłuchując się ich rozmowie, przekonałem się, że mówią między sobą najczystszym literackim językiem rosyjskim. Do dziś pozostało dla mnie zagadką czy byli to zwykli kondotjerzy, którzy nie mając nic do roboty, w ten sposób zarabiali na chleb, czy też tylko zrusyfikowani Ukraińcy, którzy przez dziwacznie ogolone łby demonstrowali obudzoną i odzyskaną świadomość narodową.

Szybko wypiłem herbatę i powróciłem do wagonu, aby zwolnić sierżanta, który pilnował mego plecaka. Teraz on oddał swój plecak pod moją opiekę i poszedł do bufetu.

Po godzinie pociąg ruszył dalej. Do Bachmacza, końcowej stacji dla naszego pociągu, przyjechaliśmy późno wieczorem. Wraz z sierżantem udaliśmy się do poczekalni. Na dworcu mniej już było Ukraińców, natomiast więcej żołnierzy niemieckich. Nie wiedzieliśmy co dalej robić, — czy szukać tu noclegu, czy też iść pieszo do Konotopa, który był oddalony o kilkanaście kilometrów. Zdecydowaliśmy, że ja pozostanę i będę pilnował rzeczy, sierżant zaś poszedł na wywiad.

Po pewnym czasie powrócił i zakomunikował, że za chwilę idzie do Konotopa pociąg towarowy, którego konduktor pozwala jechać na platformie, — więc czy zgadzam się odbyć tę podróż, zważywszy, że nie potrwa ona długo. Naturalnie, chętnie zgodziłem się na to. Włożyliśmy na siebie plecaki i poszliśmy szukać tego pociągu. Na jednym z dalszych torów stał już pod parą dość długi pociąg towarowy. Miałem wrażenie, że był naładowany żywnością wywożoną do Niemiec przez Konotop—Homel, gdyż stały przy nim posterunki niemieckie.

Wszystkie wązkie platforemki były już zajęte przez takich samych amatorów jazdy jak my. Posterunki niemieckie biernie przyglądały się tej okupacji pociągu przez amatorów jazdy na gapę, — nie wiem czy przez zwykły sentyment do ludzi, którzy wracali do swych domostw, czy na rozkaz władz niemieckich, które życzliwie musiały patrzeć na odpływ z okupowanego przez nie terytorjum zbytecznego elementu, — dość, że żołnierze

niemieccy nie przeszkadzali nam w poszukiwaniu miejsc.

Nagle pociąg ruszył. Sierżant rzucił się do jakiegoś wagonu, ja zaś — widząc, że miejsca nie znajdę — wskoczyłem na stopnie jednej z platform i uchwyciłem się rękoma żelaznych poręczy. W stojącej, a raczej wiszącej pozycji musiałem odbyć całą drogę, gdyż platforemka i stopnie były tak obwieszone pasażerami, że mowy nie było o znalezieniu kawałka miejsca. Podróż trwała najwyżej godzinę, lecz żadna nie dała mi się tak we znaki jak ta. Plecak ciągnął swym ciężarem w tył, ręce mdlały ze zmęczenia, a co najgorsze, noc była mroźna i zimny wicher przenikał mnie do szpiku kości. Musiałem trwać w tej pozycji, byłem bowiem w położeniu bez wyjścia — a w takich wypadkach człowiek zdobywa się na wysiłek, który w normalnej sytuacji byłby niemożliwy.

Wreszcie Konotop.

Zmarznięty do nieprzytomności miałem jedno, jedyne pragnienie — ciepła, za każdą cenę ciepła. Odszukałem sierżanta, również skostniałego i powlekliśmy się na dworzec, aby tam przenocować. Dworzec w Konotopie, dość duży, był zajęty przez oddział wojsk niemieckich. Wielka poczekalnia przedstawiała dziwny widok, gdyż została zamieniona na stajnię, w której stały konie, pilnowane przez kilku żołnierzy niemieckich. Byłem tak zmęczony i zmarznięty, że namówiłem mego towarzysza podróży, by pozostać tu na nocleg — tembardziej, że

w zaimprowizowanej stajni było ciepło. Zamieniłem kilka słów z jednym z żołnierzy, pytając czy możemy tu przenocować. Spojrzał na nas i po chwili namysłu, widocznie nabrawszy zaufania, wskazał nam przeciwległy koniec sali, gdzie nie było koni. Podłoga była tak zaśmiecona brudną słomą, sianem i nawozem końskim, że nie mogłem zdecydować się pójść w ślady mego towarzysza, który zebrał trochę słomy i zrobił sobie z niej posłanie na podłodze. Wolałem położyć się na obitej grubą blachą ladzie, która normalnie służyła do przyjmowania i wydawania bagażu.

Twarde to było łoże, lecz przynajmiej jako tako czyste i dzielące mnie nieco od smrodu i brudu podłogi.

Z plecaka zrobiłem poduszkę i nie zdejmując palta położyłem się na ladzie. Z rozkoszą wyciągnąłem się na całą długość mego ciała, ciesząc się, że wreszcie mięśnie i nerwy wypoczną po godzinnym, tak męczącym, wysiłku i że przejmujące mnie nawskroś uczucie zimna, zaczyna ustępować pod wpływem wilgotnego, parnego ciepła stajennego.

Po chwili spałem kamiennym snem. Tak zakończył się pierwszy dzień mej podróży.

CIĘŻKIE REFLEKSJE NA TLE PONUREJ RZECZYWISTOŚCI

II

Spałem tak mocno, że obudziwszy się nazajutrz, w pierwszej chwili byłem zdezorjentowany. Pierwsze już jednak poruszenie przypomniało mi, gdzie jestem. Bolały mnie wszystkie kości, protestując w ten sposób przeciwko oryginalności i twardości mego łoża.

Usiadłem na ladzie. Żołnierze niemieccy w koszulach z zawiniętemi rękawami czyścili konie, nie zwracając na nas uwagi. Mój towarzysz podróży jeszcze spał w najlepsze. Obudziłem go. Pilno mi było pozbyć się sąsiedztwa niemieckich żołnierzy.

Wyszliśmy przed dworzec, gdzie pod pompą umyliśmy się zimną wodą. Z rozmowy z kolejarzami dowiedzieliśmy się, że pociągi dalej nie chodzą. Postanowiliśmy zatem maszerować do miasteczka Konotop, oddalonego o parę kilometrów od stacji, aby zjeść tam śniadanie i dowiedzieć się co dalej robić. Tu poinformowano nas, że rzeka Sejm, przepływająca w odległości paru kilometrów od miasteczka, stanowi granicę i front między Ukrainą a Rosją Sowiecką. Most kolejowy na rzece Sejm jest jednak zniszczony i oba brzegi w tem miejscu są obsadzone przez wojskowe oddziały walczących stron,

między którymi odbywają się stale utarczki, — o przejściu więc Sejmu w tem miejscu niema mowy. Po stronie sowieckiej pociągi dochodzą tylko do miasteczka Królewiec, oddalonego od rzeki o jakieś trzydzieści kilometrów. Natomiast można przeprawić się przez Sejm w miasteczku Baturin, leżącem nad tą rzeką i gdzie fukcjonuje prom, a nadto niemal każdy mieszkaniec posiada własną łódkę, więc o przewoźnika nietrudno. Z Konotopa do miasteczka Baturin było 35—40 kilometrów, a więc pieszo można było się tam dostać w ciągu jednego dnia. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy z sierżantem natychmiast wyruszyć. Zarzuciliśmy plecaki na siebie i udaliśmy się w drogę.

Znowu maszerowałem szeroką drogą w towarzystwie nieznanego mi człowieka.

Czułem, że dźwigając plecak wojskowy śmiesznie muszę wyglądać w wytartej czapce fokowej i palcie cywilnem, z pod którego wyglądały łydki, odziane w owijacze austrjackie. Tak jednak przyzwyczaiłem się do mego cywilnego palta, tyle różnych przygód, z których wychodziłem obronną ręką, było ono świadkiem, że ta dziwaczność stroju już mnie nie raziła i nie krępowała. Wesoło więc i raźno dotrzymywałem kroku memu przygodnemu towarzyszowi wędrówki, gawędząc z nim stale, — w miarę bowiem, jak go poznawałem bliżej, rosło moje do niego zaufanie.

Był to mieszczanin z pod Moskwy, który odbył całą

wojnę w jednym pułku i na froncie, gdzie dosłużył się stopnia sierżanta. Rewolucja zastała go na froncie austrjackim, gdzie po różnych perypetjach — jak to już wspomniałem — pułk jego uległ wreszcie ukrainizacji. Jako Rosjanin otrzymał formalne zwolnienie i teraz uszczęśliwiony powracał do domu. Do „bolszewizmu“ ustosunkowywał się z wyraźną niechęcią, lecz zbytnio z tem się nie afiszował. Natomiast nie ukrywał swego oburzenia i nienawiści do ruchu ukraińskiego, a zwłaszcza nie mógł zrozumieć przymierza, zawartego przez Centralną Radę z Niemcami. Sam fakt, że Ukraińcy przy pomocy wojsk niemieckich wypędzali bolszewików z Ukrainy, budził w nim podejrzenia, iż nowi panowie na Kremlu zdradzają ideę niepodzielnej Rosji. Chętnie więc wracał do domu, choć był kawalerem i nic specjalnie z miastem rodzinnem go nie wiązało, — poprostu uciekał z kraju, gdzie, w jego mniemaniu, panoszyła się straszna zdrada. Do jego psychiki prawdziwego moskala nie mogło nawet mieć dostępu pojęcie jakiegoś odrębnego narodu ukraińskiego.

Wszystkie moje nieśmiałe próby usprawiedliwienia poczynań Centralnej Rady Ukraińskiej, spotykały się z tak energicznym protestem, że wolałem nie rozwodzić się zbytnio na ten temat.

Ze swej strony na jego pytanie przyznałem się, że jestem Polakiem, studentem Uniwersytetu Petersburskiego i że jadę do Moskwy, względnie do Petersburga, by na-

wiązać łączność z rodzicami, którzy tam pozostali. Świetne opanowanie mowy rosyjskiej, doskonała znajomość rozległych terenów Rosji aż po Sybir i Turkiestan, szczera moja niechęć i zawziętość w stosunku do Niemców, zjednywały mi ufność sierżanta. Czuł się też swobodny w mem towarzystwie. Wkrótce wiedzieliśmy o sobie wiele i mieliśmy świadomość, że jesteśmy parą ludzi uczciwych i przyzwoitych.

W południe, mijając jakąś wieś, zatrzymaliśmy się na odpoczynek w jednej z chat, gdzie dostaliśmy herbaty, mleka i dużo razowego chleba. Inny tu panował nastrój niż na Ukrainie, było spokojniej, miało się wrażenie, że wieś nadal żyje normalnym, monotonnym trybem. Z prostoty przyjęcia można było wnioskować, że szlakiem tym wielu ciągnęło w stronę Moskwy takich samych wędrowców jak my i że niejeden z nich pukał do drzwi tutejszych chat z prośbą o posiłek i prawo wypoczynku, również jak my.

Przed wieczorem dobrnęliśmy do Baturina. Wstąpiliśmy do pierwszego napotkanego szynku, gdyż byliśmy głodni i zmęczeni. Zastaliśmy tu duże towarzystwo. Powoli między nim a nami nawiązała się rozmowa. Świadomie manewrowałem tak, by z naszej strony podtrzymywał ją mój towarzysz. Mając czyste sumienie, z całym spokojem opowiadał, że zdążamy do Moskwy i że słyszeliśmy, iż w Baturinie można łatwo przedostać się na drugą stronę rzeki.

— Zapóźno braciszku — odezwała się żona właściciela szynku — spóźniliście się o parę dni. Oni także chcieli się przeprawić na drugą stronę i już drugi dzień tu siedzą, a nic z tego nie wychodzi.

To mówiąc wskazała na milczące towarzystwo, którego znudzony wyraz twarzy istotnie świadczył, że długo tu siedzi i że już wszystko dawno sobie powiedziało, co miało do powiedzenia.

— A dlaczego nie można przejechać na drugą stronę? — pyta zdziwiony mój towarzysz.

— Dlaczego? — wmieszał się do rozmowy właściciel szynku — bo „towarzysze“ po tamtej stronie od kilku dni wściekli się i nikogo nie puszczają z tego brzegu. Do każdej łódki, która stąd odbija, strzelają jak warjaci. Postrzelili, sobacze syny, jednego przewoźnika i teraz nikt nie chce jechać.

— Może to tylko chwilowe obostrzenie — wmieszałem się do rozmowy.

— Kto ich tam wie; być może. Oni jednak drugi dzień tu siedzą i nie mogą nikogo znaleźć, ktoby zgodził się ich przewieźć.

Pochmurne twarze milczącego towarzystwa, w niedbałych pozach palącego „mahorkę“, potwierdziły słuszność uwag szynkarza. Mój kompan nawiązał z nimi rozmowę. Okazało się, że była to t. zw. „artiel“ stolarska, która po ukończeniu robót, gdzieś w okolicach Czernichowa, powracała do rodzinnych stron w Tulskiej gubernji.

„Artiel“ — to oryginalny przejaw rosyjskiej psychiki, wyrosły na tle zbiorowej „gminnej“ gospodarki wsi rosyjskiej. Do reformy rolnej Stołypina, ziemia należąca do wsi stanowiła zbiorową, wspólną własność wszystkich jej gospodarzy. Na tle tej „obszczyzny“ wzrosły i inne formy zbiorowej pracy, między innemi i „artiel“ rzemieślnicza, — to co dziś nazywamy spółdzielnią wytwórczą. „Artiel“ taka miała „starszego“, który w jej imieniu zawierał z przedsiębiorcami umowy i dokonywał wszelkich rozrachunków. Pozatem „artiel“ prowadziła wspólną gospodarkę, — w ten sposób członkowie jej otrzymywali na ręce pieniądze dopiero po ukończeniu roboty. Był to już czysty zarobek każdego z jej członków. „Artiel“ składała się z kilkunastu ludzi, w różnym wieku, — poczynając od siwych majstrów, a skończywszy na kilkunastoletnich chłopcach.

Z rozmowy dowiedzieliśmy się, że „artiel“ już prawie tydzień błąka się wzdłuż frontu ukraińsko-bolszewickiego, nie mogąc przedostać się na drugą stronę. Im również powiedziano, że w Baturinie można przeprawić się łatwo na drugą stronę rzeki, a temsamem i frontu. Niestety, tak jak i my spóźnili się, — widocznie sława Baturina pod tym względem tak poszła szeroko, że bolszewicy postanowili zamknąć i tę dziurę w swym froncie. Być może jednak były to tylko chwilowe obostrzenia, w związku z tą czy inną akcją wojenną, po przeprowadzeniu której przywrócą komunikację przez rzekę. Licząc się z drugą

możliwością „artiel" siedziała tu już drugi dzień — jak dotychczas bezskutecznie. Kilku jej członków poszło do miasteczka, aby zasięgnąć wiadomości, względnie znaleźć kogoś, ktoby przewiózł ich na drugi brzeg. Po pewnym czasie wrócili, przyprowadzając ze sobą dwuch przewoźników.

Rozpoczęły się pertraktacje. Przewoźnicy, widząc tylu amatorów przeprawienia się na drugą stronę rzeki, poczuli okazję dobrego zarobku, lecz jednocześnie obawiając się niebezpieczeństw takiej wyprawy, namawiali nas gorąco, aby zaczekać do następnego dnia, zapewniając, że bolszewicy lada chwila winni zaprzestać tej „blokady". Widząc jednak niecierpliwość zebranych, przejawiającą się w „mocnych słóweczkach", uspakajali, obiecując uskutecznić przewóz w nocy.

Chciałem już wyrwać się z akceptacją tego planu, gdy, ku memu zdziwieniu, „starszy" artieli, nie biorący dotychczas udziału w rozmowie, warknął nagle z gniewem:

— Ej ty! nie bądź taki mądry. Widzisz chyba, że masz do czynienia z porządnymi ludźmi, którzy spokojnie powracają do domu. Jeśli chcesz szpiegów wozić, to idź szukać gdzieindziej; tu ich nie znajdziesz.

— Chłop ma rację — pomyślałem. Takiemu przewoźnikowi łatwo w nocy wyrzucić pasażerów na drugi brzeg, lecz nie ulega żadnej wątpliwości, że bolszewicy,

łapiąc takiego gościa, nie mogą go inaczej traktować jak szpiega.

Przewoźnicy nie nalegali więcej, tembardziej, że w międzyczasie jeden z chłopów przyniósł z miasteczka wiadomość, że wojska niemieckie uruchomiły linję kolejową Bachmacz-Homel, pozwalając korzystać z niej i ludności cywilnej. Z Homla zaś podobno chodzą pociągi do Moskwy.

Po wysłuchaniu tych relacyj „artiel" zdecydowała się próbować szczęścia. Najbliższą stacją na linji Bachmacz-Homel była Bondarewka, dokąd postanowiono udać się na poszukiwanie pociągu. „Artiel" wyznaczyła swój wymarsz na wczesny ranek następnego dnia. Postanowienie to całkowicie dogadzało mnie i memu towarzyszowi podróży — nam również chodziło o dostanie się do Moskwy, obojętne jaką drogą. Wobec czego zapytaliśmy „starszego" czy nic nie będzie miał przeciw naszemu przyłączeniu się do nich. Propozycję przyjęto życzliwie. Nie pozostawało nam nic innego jak zakrzątnąć się około noclegu. Znaleźliśmy go w tej samej karczmie.

Tak minął drugi dzień mej podróży.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy w drogę. „Artiel" wynajęła jednokonny wóz, na który złożyła wszystkie swoje stolarskie przyrządy. Ja i mój towarzysz ulokowaliśmy na nim nasze plecaki, wobec czego maszerowało się lekko, zwłaszcza że pogoda sprzyjała, — dzień był słoneczny i ciepły.

Nad wieczorem dopiero doszliśmy do stacji Bondarewka. Dowiedzieliśmy się, że istotnie komunikacja została wznowiona, narazie jednak kursują pociągi towarowe, do których doczepia się kilka wagonów dla pasażerów. Taki właśnie pociąg odszedł już około południa, a następny odejdzie dopiero jutro. Trzeba było czekać.

Ponieważ stacja była zajęta przez oddział wojskowy niemiecki, zdecydowaliśmy przenocować w domku dróżnika, który nam udzielił tych wyjaśnień. Z oddalonego od stacji mniej więcej o dwieście do trzystu metrów domku widać było krzątających się na stacji żołnierzy niemieckich.

Wieczór był piękny. Wypoczywając po całodziennym marszu na ławce pod starą lipą, obserwowałem majestatyczny zachód słońca. Różne myśli tłukły mi się po głowie. Myślałem o tem, że już trzeci dzień drepcę na miejscu, nie mogąc przedostać się przez ten dziwny front, gdzie nie widać wojska, nie słychać odgłosu walk, a który mimo to istnieje i zmusza ludzi miotać się jak w zaczarowanem kole. Myślałem, jak zżyłem się już z obecnością Niemców w tym kraju. Przypomniałem sobie z uśmiechem tak niedawne jeszcze czasy, gdy uciekałem od nich. Obecnie siedziałem pod bokiem oddziału niemieckiego, czekając spokojnie na pociąg, w którym napewno pełno będzie żołnierzy niemieckich.

Te coraz dalsze zapuszczanie się Niemców wgłąb Ukrainy cieszyło mnie bardzo.

Im więcej ugrzęźnie tu oddziałów niemieckich — snułem wątek myśli — tem lepiej, bo gdy należycie zorganizujemy na Ukrainie P. O. W. a w głębi Rosji armję polską, to przyjdzie chwila, że wywołując na Ukrainie rozruchy i powstania chłopskie przeciwko okupantom niemieckim i austrjackim, zmusimy ich do pchania tu coraz nowych oddziałów, a więc tem samem osłabiania frontu zachodniego.

Przyjdzie więc taka chwila, gdy będziemy mogli przyjść aljantom z realną pomocą, a tem samem zmusić ich do poważnego liczenia się z nami — walczącymi o Niepodległość Polski.

Takie myśli snuły mi się po głowie w cichy wiosenny wieczór pod starą lipą, na widok krzątających się po stacji żołnierzy niemieckich.

Przespaliśmy się wszyscy pokotem na hojnie zasłanej słomą podłodze izby dróżnika.

Ranek dnia następnego wypełniło nam picie herbaty, ten swoisty i pełen niewzruszonej powagi, narodowy obrządek rosyjski.

Brzuchaty, błyszczący, buchający parą samowar, — nieodzowny rekwizyt obrządku — stawia się pośrodku

stołu, by każdy, biorący udział w tej uroczystości, mógł sam sobie nalewać herbatę.

Obyczaj wymaga, by narodowy ten trunek pity był powoli, w uroczystej kontemplacji, przerywanej od czasu do czasu głębokiemi westchnieniemi i ścieraniem rękawem koszuli potu, coraz rzęsiściej występującego na czerwonych twarzach i coraz obfitszymi spływającego z nich strumykami.

Dmuchając na gorący płyn, pije się go statecznie małemi łykami ze spodeczków, podtrzymywanych uważnie wszystkiemi pięcioma palcami lewej ręki, podczas gdy prawa, miarowo i bez pośpiechu, podnosi do ust kawałki cukru, leżące przed pijącymi na stole, a od których odgryza się małe kawałeczki, dostarczające podniebieniu oszczędnych dawek rozkoszy słodyczy. Tak pije się herbatę w „prikusku".

Każdy z uczestników takiej uczty wypełnia swe wnętrze niezliczoną ilością szklanek wrzątku, gdyż towarzystwo nie wstanie od stołu pokąd samowar nie zostanie wypróżniony. Dlatego w żadnej, nawet najbiedniejszej, chacie rosyjskiej nie może brakować samowara. Jest on niejako probierzem zamożności, — im większy i z lepszej miedzi, tem lepiej świadczy o dostatku panującym w domu.

Oczywiście również i nasz gospodarz nie omieszkał postawić przed nami dużego, błyszczącego, buchającego parą samowara. Naturalnie i jego przygodni goście pod-

dali się wymogom obyczaju, — dmuchali w milczeniu i z namaszczeniem w spodki, pili jedną szklankę herbaty za drugą, ciężko wzdychali i obficie pocili się.

Ja również, aby nie wyróżniać się z pośród reszty towarzystwa, nalewałem herbatę na spodki, zawzięcie dmuchałem na gorący płyn, odgryzałem maleńkie kawałeczki cukru i również niemiłosiernie się pociłem. Więzienie nauczyło mnie bowiem prostej a cennej prawdy życiowej, trafnie ujętej w rosyjskiem przysłowiu, według którego „kto chce z wilkami żyć, ten musi jak wilki wyć".

Długo celebrowaliśmy nasze „czajepitje w prikusku", zwłaszcza, że do pociągu było jeszcze sporo czasu. Wreszcie obładowani tobołami, piłami i innemi narzędziami stolarskiemi, ruszyliśmy na dworzec.

Tu, oczekając pociągu mogłem obserwować inną, również narodową uroczystość.

Po drugiej stronie stacji, w pewnem oddaleniu od toru, żołnierze niemieccy zajęci byli szlachtowaniem ogromnego wieprza, w całej swej okazałości zawieszonego na wielkim drągu. Otyły szwab, o czerwonej, nalanej twarzy, w hajdawerach i koszuli z zawiniętemi rękawami, trzymając w ręku duży nóż, uroczyście celebrował tę rozkoszną operację, w której dopomagało mu dwu żołnierzy.

Kapłan cechu rzeźniczego i jego pomocnicy byli otoczeni wiankiem, złożonym z kilkunastu żołnierzy niemieckich, a na twarzach wszystkich malowało się bezgraniczne

zadowolenie, bliskie ekstazy. Widzowie z ogromnem przejęciem śledzili przebieg ceremonji, żywo dzieląc się uwagami, co chwila wybuchając rubasznym śmiechem.

Widać było z ich roześmianych twarzy, że każdy naprzód przeżywał już rozkosze gastronomiczne, których dostarczą mu szynki, kiełbasy, słonina i inne ulubione narodowe potrawy, w które zamieni się wspaniały wieprz.

Trudno było nawet dziwić się tej radości żołnierzyków niemieckich, którzy po piekle frontu zachodniego musieli odczuwać pobyt na tym dziwnym froncie bolszewicko-ukraińskim jako wymarzone wakacje, tem rozkoszniejsze, że nietylko nie było tu okopów, gazów trujących i wogóle żadnych walk, lecz odpoczynek ten miał jeszcze miejsce w kraju, tak obfitującym w żywność.

Wreszcie przybył pociąg. Same towarowe wagony — kwestja wyboru miejsc została znakomicie uproszczona. Całe towarzystwo wpakowało się do wagonu sąsiadującego z wozem, mieszczącym niemiecką pocztę polową. Natychmiast po zatrzymaniu się pociągu został on otoczony przez gromadę żołnierzy niemieckich, którzy gorączkowo dzielili między siebie otrzymane gazety i listy. Na tem jednak czynności poczty polowej nie kończyły się. Niemal każdy z żołnierzy niemieckich przyniósł ze sobą niewielką paczkę, którą wręczał obsłudze wagonu pocztowego.

Domyśliłem się odrazu, że są to paczki z żywnością, wysyłane przez żołnierzy, z tego kraju mlekiem i miodem płynącego, do rodzin w Niemczech.

— Z jakąż radością muszą być tam witane te paczki — pomyślałem obserwując tę scenę.

Ludność Niemiec, które toczyły wojnę daleko od swych granic, nie znała okropności i grozy bombardowania miast, palenia wsi, mieszkania wśród ruin i zgliszcz, lub tułaczki po obcych miastach a nawet krajach. Natomiast ludność niemiecka poznała w całej pełni inną udrękę wojenną — głód.

Głód.....

Stanęły mi przed oczyma długie miesiące, spędzone w Niemczech w obozach dla jeńców, od jesieni 1915 r. do lata 1916 roku.

Obóz w Stendhalu — ogromny, mieszczący kilkanaście tysięcy żołnierzy rosyjskich, belgijskich, francuskich i angielskich. Straszna zima w drewnianych barakach, w których po nocach zamarzała woda w miednicach — i biedni Senegalczycy, drzemiący całymi dniami przy piecach w kuchniach i pralniach, by śnić o swym dalekim, upalnym kraju. Lecz straszniejszy niż to zimno potworne, niż wyrafinowana brutalność dozorców niemieckich, był ustawiczny głód.

Ach ten głód....

Cuchnące, ze starych kartofli i zgniłych śledzi zupy,

chleb lepki jak mokra glina, w którym było wszystko prócz mąki. Jedyne źródło żywności — obozowa kantyna, gdzie nic nie można było dostać prócz margaryny i rybnych konserw. Długie tygodnie, podczas których jedyną strawę stanowiły te konserwy, budzące już wreszcie odrazę, — a pozatem wieczna herbata z prawdziwymi razowymi sucharami, wycyganionymi od jeńców rosyjskich. Niecierpliwe oczekiwanie soboty, gdy na niedzielę przychodził do obozu znajomy Polak-jeniec, pracujący jako krawiec, a który kupował dla mnie i W. Rzymowskiego — oczywiście za nasze pieniądze — żywność. Początkowo przynosił kiełbasę, szynkę, masło, sery. Z każdym jednak tygodniem było gorzej, aż pewnej soboty oznajmił nam, że już nigdzie nie może dostać masła, że całe miasto używa tylko margaryny.

Na samo wspomnienie smaku tej margaryny przeszedł mnie dreszcz wstrętu.

— Oh, biedacy, jak ja was rozumiem — myślałem, patrząc z jaką troskliwością żołnierze wręczają swe paczki.

Paczki z żywnością! O znam waszą potęgę — śmiałem się w duchu — w tem państwie głodu. Jakie cuda one tam sprawiają. Oto wtedy, gdy nam coraz trudniej było o żywność, tuż obok, w tym samym obozie dla jeńców, za ścianą z drutu, w sąsiednim „bloku“ — wszystkiego było poddostatkiem. A cud ten sprawiały paczki z żywnością.

Angielscy, belgijscy, a zwłaszcza francuscy żołnierze, otrzymywali ze swych krajów ogromne ilości paczek z żywnością, dostarczanych każdemu niemal każdego dnia. Były to konserwy, zawierające wszystko: od prostej kiełbasy do delikatnych pulard, od zwykłych jarzyn do wybrednych kompotów z ananasów, a w tej masie puszek nie trudno było przemycić butelkę dobrego koniaku. W tych warunkach stopa życiowa jeńca zależała wyłącznie od stopnia zamożności jego rodziny, chęci i troskliwości przy szykowaniu takiej paczki.

O, ci jeńcy nie znali uczucia głodu.

Naturalnie, jeńcy, obywatele państw zachodnich, a przedewszystkiem Francuzi, nie dotykali zup urzędowych, które wspaniałomyślnie oddawali swoim ordynansom. Z reguły bowiem każdy jeniec francuski miał swego ordynansa, którym był żołnierz rosyjski, otrzymujący urzędowe jedzenie swego kolegi-Francuza i resztki jego prawdziwego obiadu, wzamian za czyszczenie wszystkich jego naczyń obiadowych.

Wśród jeńców z armji rosyjskiej panowała bowiem straszna bieda i głód. Przesyłek żywnościowych z kraju prawie nie otrzymywali, a nielicznie nadchodzące składały się przeważnie z sucharów razowych, herbaty, cukru i tytoniu. Największa jednak bieda panowała wśród jeńców Polaków z armji rosyjskiej, gdyż Niemcy nie pozwalali wysyłać paczek żywnościowych z terenów okupowanych.

Osnuły mnie wspomnienia niedawnej, ponurej przeszłości... Ożyły, uniosły mnie w strony dalekie, czasy minione... Zbudziły uśpione refleksje...

Na widok tych żołnierzy, cisnących się ze swemi paczkami do wagonu pocztowego, stanęły mi nagle przed oczyma upokarzające sceny, które rozgrywały się dzień w dzień na podwórzu naszego bloku w obozie jeńców podczas rozdawania obiadu. Wnoszono kilka ogromnych kadzi, napełnionych cuchnącą cieczą, zwaną zupą. Kilkunastu żołnierzy niemieckich, klnąc i wrzeszcząc w niebogłosy, szerokiemi bagnetami płazuje cisnących się jeńców, z trudem utrzymując jaki taki porządek, albowiem głód porwał wszelkie pęta dyscypliny i godności.

Wreszcie rozdawanie zupy ukończono, — oto moment wesołej igraszki dla dozorców niemieckich.

— Alles, Alles — wołają Niemcy, wskazując palcami na kadzie z resztkami jedzenia.

Na moment ten czeka kilkunastu najbardziej zgłodniałych jeńców. Rzucają się, jak prawdziwa sfora psów, spuszczona ze smyczy. Koło każdej kadzi w jednej chwili powstaje kłębowisko ludzkich ciał. Krzyki, przekleństwa, bijatyka, — każdy bowiem chce dosięgnąć menażką, dłonią lub nawet czapką, resztek jedzenia. Czasami popchnięty wpada głową do kadzi. Wszyscy są wzburzeni, zziajani — walczą tak zajadle, że ogromne kadzie jak wielkie piłki unoszą się ponad ich głowami, przechodząc z rąk do rąk.

A Niemcy patrzą i pokładają się ze śmiechu.

Obserwując zdaleka tę codzienną scenę, miałem nieraz łzy w oczach z upokorzenia, widząc wśród walczących zacięte twarze znajomych żołnierzy Polaków — dzieci wsi mazurskich.

Lecz gdybyż głód takie tylko wyrządzał krzywdy ludzkiej godności...

Ileż to razy o zmroku, podczas zwykłych o tej porze spacerów po ogromnem podwórzu, obserwowałem zdaleka, jak jeńcy, z opuchniętemi, jakgdyby wodą nalanemi twarzami, grzebali w śmietnikach, wyszukując resztek jedzenia. Jakże nieraz łapczywie pożerali znalezioną głowę śledzia.

A z miasta przychodziły wiadomości, że tam z dnia na dzień coraz trudniej nietylko o masło, lecz nawet o mleko dla dzieci, że zatem u nas w obozie będzie jeszcze gorzej.

Wywołane na ekran pamięci wspomnienia wciąż suną, jedno za drugiem, jak na taśmie kinematograficznej, kręconej niewidzialną ręką.

Przeniesiono nas z W. Rzymowskim do oficerskiego obozu dla jeńców w Celle-Schloss.

Jakaż zmiana sytuacji! Obóz był tu ulokowany w starym zamku myśliwskim książąt Hanowerskich, który razem z księstwem przeszedł w posiadanie królów pruskich.

Cały zamek, razem z dziedzińcem i cudnym starym parkiem, był oddany do dyspozycji jeńców.

Granicą, której nie mogliśmy przekroczyć, była głęboka fosa, napełniona wodą, otaczającą ze wszystkich stron zamek. Zwodzony most stanowił jedyną łączność z miastem.

Po Stendhalu nowy obóz wydawał się zacisznym pensjonatem — zwłaszcza, gdy przyszła wiosna. Do sypialnych pokojów, położonych na piętrach, przez otwarte okna zaglądały gałęzie kwitnących, stuletnich kasztanów. Pachniały ogromne, rozłożyste lipy. Całymi dniami wylegiwaliśmy się na leżakach w cieniu starych, potężnych dębów, upajając się odurzającym zapachem niezliczonych krzewów kwitnącego jaśminu i bzu.

Jednakże i tu panował głód. Cóż z tego, że jak w pensjonacie zwoływano nas dzwonkami na obiad i kolację do ogromnej sali jadalnej, kiedy przy długich stołach otrzymywaliśmy zawsze tę samą grochówkę i śledzia z kartoflami. Co prawda, lepsza tu była kantyna, lecz coraz trudniej było już o kiełbasę i masło, a pod koniec mojego pobytu jedynym przysmakiem, który mogliśmy nabywać, były jaja gotowane i cebula. Właściciel kantyny jak mógł, zabiegał o prowjanty dla swego przedsiębiorstwa, gdyż miał wśród jeńców klijentów, płacących mu za dostarczoną żywność każdą żądaną cenę, lecz rezultaty jego wysiłków były coraz niklejsze.

Trzeba przyznać, że właściciel kantyny miał niebyle-

jaką klijentelę, — obóz Celle-Schloss mógł bowiem poszczycić się reprezentacyjnymi jeńcami. Znajdował się tu baron Korf, ostatni rosyjski gubernator Warszawy, który tak głupio dał się wziąć do niewoli podjazdowi niemieckiemu. Siedział słynny burmistrz Brukselli Max, wsławiony hardem zachowaniem się wobec wkraczających do stolicy Belgji wojsk niemieckich, a który i tu, w tym zamienionym na więzienie zamku królewskim, zachowywał się także jak książę udzielny, nie opuszczając prawie swych pokoi.

Właściciel kantyny zamienił się de facto w maitre d'hotel'a dumnego Belga, wysilając się, aby swemu panu, widocznie lubiącemu dobrze zjeść, przyrządzać możliwie najbardziej wykwintne obiady — podawane mu na wielkich półmiskach przez niezliczoną ilość służby, zdawałoby się specjalnie przydzielonej do obsługi tego „udzielnego księcia". Wrażeniu temu sprzyjała okoliczność, że ordynansami obsługującymi jeńców w oficerskim obozie byli wyłącznie jeńcy-Flamandczycy z armji belgijskiej, specjalnie faworyzowani przez rząd niemiecki, oddający się właśnie wówczas z całym zapałem i wrodzoną zręcznością rozdmuchiwaniu kwestji flamandzkiej w Belgji. Weseli, zwinni Flamandczycy na flirt ten i wyróżnienia odpowiadali w ten sposób, że demonstracyjnie za swego szefa uważali tego hardego Wallończyka, który z taką samą jak w Bruxelli godnością i dumą reprezentował tu swój piękny kraj. Prawdopodobnie zato właśnie ci pro-

ści Flamandczycy otaczali go taką serdeczną troską i szacunkiem.

Miał jeszcze jednego pana, któremu gorliwie służył nasz uprzejmy, a lubiący zarobić kantyniarz. Był nim magnat rosyjski, hr. Komarowski.

Ciekawy był to typ. Jako ochotnik brał udział we wszystkich wojnach, — był na Kubie podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej, pomagał Boerom, bił się na polach Mandżurji. Ironja losu jednak chciała, że wybuch wojny zastał go w kurorcie niemieckim, skąd wprost powędrował do obozu jeńców. Czas swój dzielił między książki a kieliszek. Wyjątkowo wykształcony i kulturalny, był jednocześnie alkoholikiem. Głuchy kąt parku i książkę opuszczał jedynie, by zasiąść przy stoliku w kantynie, w towarzystwie takich samych jak on pijaków. Kompanami, pijącymi na koszt swego bogatego przyjaciela, byli naczelnik powiatu, naczelnik więzienia i policmajster miasta Kalisza, którzy wprost z miejsca swego urzędowania przywędrowali tu w pierwszych dniach wojny. To małe i dobrane towarzystwo pochłaniało niesamowite ilości alkoholu. Usłużny kantyniarz mniej miał kłopotu z dostarczaniem im jedzenia, niż coraz to nowych i mocniejszych gatunków wódek, gdyż hrabia uważał za swój święty obowiązek przepijać w całości co miesiąc otrzymywane z domu 1.500 marek.

Głód jednak okazał się silniejszy, niż pieniądze Maxa i hr. Komarowskiego. Coraz trudniej było obrotnemu

i usłużnemu kantyniarzowi o żywność dla swych dostojnych „gości". Ilość jej zmniejszała się w miarę wzrostu liczby kartek żywnościowych i ograniczeń wolnego handlu artykułami spożywczemi.

Wreszcie głód zwyciężył. Dobroduszny i kulturalny komendant obozu, prezes sądu w cywilu, został odwołany, a troskliwy o kuchnię bogatych jeńców kantyniarz, sromotnie przepędzony. Stało się to wszystko na skutek gremjalnej skargi do Berlina mieszkańców miasta Celle, że ludność jego dosłownie jest ogałacana z lepszej żywności, gdyż po każdej cenie wyłapuje ją „verfluchte" kantyniarz, dla swych bogatych i lubiących dobrze zjeść i wypić klijentów z obozu Celle-Schloss.

Taki był koniec orgij gastronomicznych w Celle-Schloss — i tu głód, wszechpotężny już wówczas dyktator Niemiec, postawił swoje veto.

Jak pędzone wichrem chmury kłębiły się w mej pamięci wspomnienia z przed dwu lat.

— Dwa lata już minęło od tamtych dni — dwa lata umacniającej się dyktatury głodu, — cóż więc teraz musi się tam dziać, w jakie piekło zmienić się musiały obozy jeńców, co za straszna nędza gnębi biedne rodziny niemieckie, — rozmyślałem patrząc na żołnierzy, tłoczących się przed wagonem pocztowym. Zupełnie zrozumiałą była dla mnie troskliwość z jaką żegnali spojrzeniem znikające

w głębi wagonu paczki. Jaką radość i ulgę sprawią one w każdej rodzinie, jako dowód pamięci i troski.

I dopiero obserwując ze swego wagonu tę scenkę, zrozumiałem istotny sens okupacji Ukrainy przez wojska niemieckie i austryjacko-węgierskie. Poprostu nietyle chodziło tu o Ukrainę jako państwo, ile o pretekst do wprowadzenia wojska do tego bogatego i żyznego kraju, oraz zażądania za pomoc w uwolnieniu od „bolszewików" zapłaty pociągami żyta, bydła, słoniny.

Na każdej stacji powtarzała się ta sama scena — wagon pocztowy wydawał gazety i listy, zabierał paczki żywnościowe. Jak się później dowiedziałem, władze niemieckie nietylko pozwalały, lecz wprost zachęcały i nakazywały żołnierzom wysyłanie paczek żywnościowych do Niemiec.

Uderzyło mnie jeszcze, że wszędzie, gdzie pociąg przystawał, każdy prawie żołnierz otrzymywał gazetę. Wielu z nich prenumerowało „Vorwärts" — widocznie stanowisko pacyfistycznego „z urzędu" socjalistycznego pisma było takie, że ze spokojnem sumieniem dopuszczano je do armji, prowadzącej bynajmniej nie obronną wojnę.

Niemal całe towarzystwo w wagonie składało się z żołnierzy, powracających z frontu.

Uwagę moją zajęła następująca scenka: w wagonie

stał żelazny piecyk, który wobec ciepłych dni wiosennych nie był już opalany. Nagle na jednym z przystanków, jeden z jadących żołnierzy rozwalił piecyk nogą i wyrzucił go na tor. Zauważył to przechodzący kolejarz.

— Poco to robisz? — zwrócił się do żołnierza.

— Wiosna idzie, więc poco ten piecyk.

— Oj ty durniu — przyjdzie znowu zima, a wtedy piecyka nie będzie.

— Zima? — zarechotał głupawo żołnierz — w zimie to ja już będę u siebie na wsi wygrzewał się za przypieckiem.

Kolejarz tylko z rezygnacją machnął ręką i nic nie mówiąc poszedł dalej.

Na jednej ze stacyj, gdy już pociąg ruszał, do naszego wagonu wskoczył oficer niemiecki i nie zwracając na nikogo uwagi usiadł na podłodze w drzwiach, spuszczając nogi nazewnątrz. Po chwili wyciągnął z kieszeni niemiecką gazetę, którą widocznie przed chwilę otrzymał i zaczął czytać.

Od kilku dni nie miałem prasy w ręku. Stojąc więc nad oficerem rzuciłem okiem na jego gazetę. Nagle pociemniało mi w oczach: przez całą szerokość pierwszej stronicy wielkiemi literami wydrukowany był tytuł:

— Wojska niemieckie bombardują Paryż!

A więc rozpoczęła się ofenzywa niemiecka, ułatwiona

przez rewolucję rosyjską, która pozwoliła Niemcom wycofać z frontu wschodniego większość swych wojsk.

Bombardują Paryż... A więc ofenzywa tak skuteczna, Niemcy tak już bardzo zbliżyli się do stolicy Francji, że mogli wziąć ją pod ogień swej artylerji...

Zamarło we mnie wszystko z żalu i trwogi. Było jasnem, że w czwartym roku wojny obie strony doprowadziły napięcie walki do ostatnich granic ludzkiej wytrzymałości i że decydujące powodzenie ofenzywy będzie oznaczało dla zwycięskiej strony wygranie wojny. Wzięcie zaś Paryża byłoby takiem zwycięstwem Niemiec, po którem koalicja musiałaby uznać siebie za zwyciężoną.

Porażka koalicji w tym właśnie momencie, gdy Rosja była w stanie kompletnego rozkładu i bezsiły, a więc na kongresie pokojowym nie odgrywałaby żadnej roli, — musiałaby katastrofalnie zaważyć na losach Polski, która siłą rzeczy byłaby w tej sytuacji oddana na łaskę i niełaskę państw centralnych, tembardziej, że i wewnętrznie byliśmy całkowicie rozbici i rozbrojeni. Klęska koalicji byłaby jednocześnie naszą katastrofą, gdyż nie ulega żadnej wątpliwości, że zwyciężone państwa zachodnie, ratując swoje własne interesy, nie będą w możności bronienia interesów dalekiej Polski.

Widmo straszliwego nieszczęścia, ruiny wszystkich planów, stanęło mi przed oczyma.

— Czy warto jechać do Moskwy?... Poco? — przeszło mi nagle przez myśl.

Wrodzony jednak optymizm wziął zaraz górę.

— Bombardują — a więc jeszcze nie wzięli — zacząłem siebie pocieszać. Paryż to nietylko stolica Francji, to mózg i centrum nerwowe całej koalicji. Zdobycie Paryża przez wojska niemieckie — to klęska nietylko Francji, lecz całej koalicji. Musi więc ona zdobyć się na gigantyczny wysiłek i uratować Paryż. Już raz Niemcy byli pod Paryżem, a skończyło się ich katastrofą nad Marną. Musi się tym razem tak samo skończyć.

Ileż w tem pocieszaniu siebie było, czułem to doskonale, upokarzającego, pobożnego życzenia bezsilnego niewolnika. Lecz komuż jak nie niewolnikowi wypada obliczać szanse wybawienia.

Tak, wzięcie Paryża przez Niemców byłoby faktem okropnym. Jednocześnie czułem, że strach o Paryż nie płynie bynajmniej z uczucia sympatji dla Francji lub nienawiści do Niemców, lecz z zimnego wyrachowania bezsilnego niewolnika, który leżąc na barłogu więziennym, kalkuluje, która z walczących o fortecę stron da mu wolność.

Paryż..... Tak, bezwątpienia, już wówczas, jeszcze mi nieznany, był mi już bardzo bliski i drogi — cudne, legendarne miasto. Paryż. Nietylko dlatego, że nęci on każdego urokiem, blaskiem bujnego życia, przepychem nagromadzonych skarbów ludzkiej kultury, lecz i dlatego był mi blizki, że byłem „filaretą“.

Należałem przecież do tego pokolenia polskiej młodzieży, które ze wstrętem odwróciło się nietylko od wyznawców zasady „trójlojalizmu", ale i od demokratycznych haseł zarówno pozytywizmu, jak i tego socjalizmu, który uczył, że proletarjat niema ojczyzny.

Należałem do tego pokolenia, które za cel swego życia postawiło hasło walki zbrojnej o Niepodległość Polski. W imię tego hasła pokolenie to przylgnęło całą duszą do tego okresu dziejów własnego narodu, który nosił miano Wielkiej Emigracji i której dziełem było powstanie w 1863 roku.

Stolicą duchową Polski w okresie Wielkiej Emigracji był Paryż. W mieście tem żyli, tworzyli i tęsknili za Niepodległą—Mickiewicz, Słowacki, Chopin, Lelewel, Adam Czartoryski. W mieście tem również powstał Manifest Towarzystwa Demokratycznego, — z którego wyrosła ideologja naszego ruchu postępowo-niepodległościowego, w imię stwierdzenia swego ideowego rodowodu, zwanego filareckim. Paryż więc był miastem, gdzie znajdowało się ongiś źródło naszej ideologji, energji i wiary — Wielka Emigracja.

Mimo to jednak, gdy w 1914 roku wojska niemieckie parły w niepowstrzymanym, zdawałoby się, zwycięskim pochodzie naprzód, gdy zajęcie Paryża było kwestją zaledwie kilku dni — wówczas, przyznaję, nie odczuwałem strachu i przerażenia.

Nietylko dlatego, że miało się żal do Francji za zdradę dawnej przyjaźni z Polską na rzecz przymierza z carską Rosją, — ale przedewszystkiem dlatego, że Warszawa jęczała wówczas pod jarzmem moskiewskiem. Czuliśmy, że potężnego głazu moskiewskiego, który zamknął życie polskie w cuchnącym lochu więziennym, my sami, słabi i skłóceni, w większości pogodzeni z tą więzienną wegetacją, nie potrafimy już nigdy zrzucić z piersi naszego narodu. Odwalić ten głaz mogły jedynie wojska niemieckie, wojna zaś z Francją przeszkadzała im to uczynić. Im wcześniej będą zwolnione wojska niemieckie z frontu zachodniego, tem lepiej dla nas, — tak rozumowałem wówczas, na początku wojny. Dopiero na konferencji pokojowej — według tego rozumowania — koalicja miała stać się naszym sojusznikiem, gdyż w interesie jej leżałoby, aby odebrane od Rosji ziemie polskie nie powiększyły terytorjalnie państw centralnych, lecz utworzyły nowy, samodzielny organizm państwowy.

Dlatego też dreszcze rozkoszy wywoływały we mnie odgłosy kanonady artyleryjskiej pod murami Warszawy, podczas ofenzywy niemieckiej w październiku 1914 roku. Jak następnie, jako więzień niemiecki w obozie dla jeńców w Stendhalu, maltretowany i poniewierany przez żołdaków-dozorców, musiałem ukrywać przed nimi bezgraniczną radość z powodu wiadomości o zajęciu przez wojska niemieckie ukochanego Wilna i rodzimego Nowo-

gródka. Czułem całem jestestwem, że miasta te już nigdy do Rosji nie wrócą, że Niemcy za nas i dla nas spełniają robotę czarnych murzynów.

Lecz obecnie sytuacja odwróciła się. Niema caratu, zginęła przeciwwaga Niemiec na wschodnim froncie. Polska oddana na łaskę i niełaskę Niemców. Państwa koalicyjne na zachodzie stają się jedyną nadzieją, — musi być dokonany pogrom Niemiec, który zmusi je przerzucić tam wszystkie swe siły, a temsamem da nam szanse w walce z nienawistnym okupantem.

Tak z „germanofila“ zrobiłem się „ententofilem“ — w gruncie rzeczy nie będąc ani jednym ani drugim, bo nie miałem naprawdę sympatji dla żadnej strony, gdyż wiedziałem dobrze, że ani państwa centralne ani też państwa koalicyjne, rozpoczynając wojnę bynajmniej o sprawie polskiej nie myślały; jednej i drugiej stronie los nasz był zupełnie obojętny. Dlatego też mieliśmy moralne prawo kalkulować na zimno, czyje zwycięstwo a czyja porażka może dopomóc naszej sprawie, dla nas świętej.

Była to psychologja prawdziwych więźniów, którym faktycznie obojętnem było kto zwycięży, byle w tem zamieszaniu można było uciec z więzienia.

Dziś jednak oceniając ówczesne moje stanowisko miarą człowieka wolnego, posiadającego własne państwo, muszę przyznać, że było coś potwornego w tej psychologji więziennej. Nie było tu momentu zdrady, nawet psycho-

logicznej, bo nikt o poparcie narodu niewolników nie zabiegał, a tembardziej nikt z nim sojuszu nie zawierał. Każda ze stron walczących o tyle sprawę polską wygrywała, o ile to było potrzebne dla jej własnych celów. Każda ze stron posługiwała się sprawą polską, nie pytając nas nawet o zgodę, by nazajutrz, jeśli zajdzie ku temu potrzeba, sprzedać ją przeciwnikowi, choćby za cenę odrębnego pokoju lub odrzucić, gdy minie potrzeba, jak zbyteczny rekwizyt.

Nie mogło więc być mowy o zdradzie tam, gdzie nie było żadnej umowy. Było jednakże coś innego, — być może gorszego. Wówczas bowiem, gdy dla obu stron walczących wojna była potworną grą, gdzie stawką było „być albo nie być", my Polacy w grze tej wykonywaliśmy rolę śmiesznych kibiców, — owych nędznych wycirusów kawiarnianych, którzy chwaląc się tytułami szlacheckimi i wspomnieniami fortun magnackich swych przodków, cuchną jednocześnie stęchlizną ponurych barłogów. I oto, gdy gra idzie o śmierć lub życie, kibice pchają się ze swymi kilku ostatnimi dukatami, wahając się i namyślając na czyją kartę postawić te marne, ostatnie grosze. Co gorsze — każda ze stron grających straszną grę widziała pętającego się przy sobie kibica-Polaka. Był to rezultat przeklętych orjentacyj, lecz walczące strony miały prawo podejrzewać, że jest to cicha zmowa między rodakami, aby nie zaryzykować nawet tych kilku dukatów — resztek dawnej olbrzymiej fortuny.

Cóż więc dziwnego, że na takich „partnerach“ graczom nie zależało, że przeciwnie obdarzali ich źle ukrywaną pogardą i lekceważeniem.

My zaś, garstka szaleńców, co chciała rzucić na szalę własny polski czyn zbrojny, byliśmy kroplą w morzu tej biernej, wyczekującej masy. Czyż słaby oddźwięk, który idea Legjonów znalazła we własnem społeczeństwie, składającem bez słowa protestu życie i mienie na rzecz swych ciemiężców — nie podkreślał jeszcze bardziej i nie utwierdzał mocniej walczących stron w mniemaniu, że naród polski nie jest zdolny do samodzielnego bytu państwowego?

Do takiej upokarzającej sytuacji, do roli kibiców i pętaków doszedł dwudziestopięciomiljonowy naród o tysiącletniej kulturze, o wspaniałej, bujnej, historycznej przeszłości.

Tymczasem taka mała Belgja czy Serbja, walczyły w obronie zagrożonego bytu państwowego, — jakże inną była ich rola i stanowisko. Były siłą, z którą zawarto przymierza, wiernie dochowane do triumfalnego końca.

— Cóż z tego, że w chwili obecnej — myślałem z goryczą — cały naród polski ze współczuciem i obawą śledzi przebieg walk pod Paryżem? Czyż będzie to miało jakikolwiek wpływ na bieg wypadków; czy komukolwiek z koalicji zależy na tej sympatji i współczuciu, gdy wszystkim dobrze jest wiadomo, że z sypkiego piasku pol-

skiego nie można zbudować nawet jednego okopu przeciwko niemieckiej sile? Czyż zależy w tej chwili którejkolwiek ze stron walczących, po czyjej stronie są sympatje dwudziestopięciomiljonowego narodu polskiego? Tu czy tam, czyż nie wszystko jedno, — boć jaka może być wartość tej platonicznej sympatji wówczas, gdy obie strony wypruwają z siebie żyły, rzucają na szalę zwycięstwa ostatnie siły i ostatnie krople krwi.

Sympatja niewolników, niezdolnych skupić się, wytworzyć i zaoszczędzić na własny użytek chociażby trochę sił, tak hojnie i z niewolniczą biernością oddawanej swym ciemiężcom!

Co z sympatji narodu, który zmarnował rok rewolucji rosyjskiej, co otworzyła przed nim takie ogromne możliwości i szerokie pole do zorganizowania własnej siły zbrojnej?

Takie gorzkie myśli snuły mi się po głowie pod wpływem wstrząsającej wiadomości o bombardowaniu Paryża.

Na jednej ze stacyj wpakowało się do naszego wagonu trzech wesołych młodzieńców. Mimo, że wszyscy trzej byli w zwykłych żołnierskich płaszczach, natychmiast wyczułem, że dwaj z nich są byłymi oficerami. Wesoła trójka wzbudzała zaufanie, wobec czego zawiązałem z nimi rozmowę. Dowiedziałem się, że faktycznie jeden był porucznikiem, drugi zmobilizowanym studentem medycyny,

zaś trzeci zwykłym żołnierzem — zdaje się, ordynansem porucznika. Wszyscy podążali do Moskwy. Zwierzyłem się im, że i ja wraz z mym towarzyszem również tam jedziemy. Nowi nasi znajomi zaczęli nas zapewniać, że nie warto jechać do Homla, ponieważ pociągi od strony Moskwy nie dochodzą do Homla, a tylko do Noworybkowa, wobec czego radzą nam razem z nimi wysiąść na stacji Terechowka i stamtąd pieszo dojść do Noworybkowa. Zarówno mnie jak i memu towarzyszowi podróży propozycja ta bardzo się podobała, przedewszystkiem dlatego, że wesoła trójka wzbudzała w nas zaufanie, pozatem łatwiej z nimi przedostaniemy się do Moskwy, niż z liczną gromadą „artieli". „Starszy" stanowczo oświadczył, że oni jadą do Homla, tłomacząc się, że trudno im iść pieszo ze względu na liczne toboły i narzędzia. Sądzę jednak, że również obawa o zarobione pieniądze kazała im trzymać się ludnych szlaków kolejowych a nie bezdroży wiejskich. Wobec czego rozstaliśmy się z nimi, by próbować szczęścia z nowymi znajomymi.

Terechowka była małą stacyjką i prócz nas nikt tam nie wysiadł. Z dworca odrazu ruszyliśmy polną drogą w kierunku wsi tej samej nazwy, oddalonej o parę kilometrów, aby tam rozpytać o najkrótszą i zarazem najbezpieczniejszą drogę do Noworybkowa.

Na drodze spotkaliśmy samotnego żołnierza niemieckiego, który stał tu na posterunku. Byłem pewny, że będzie nas legitymował. Tymczasem nie zwracał nawet na

nas uwagi—widocznie otrzymał rozkaz swobodnego przepuszczania każdego idącego w kierunku wsi, zatrzymywania zaś podążających w odwrotnym kierunku.

Minęliśmy posterunek. Obejrzałem się. Żołnierz nadal spokojnie stał na swojem miejscu. Wreszcie znalazłem się poza strefą wpływów okupacji niemieckiej.

Zaczął się nowy rozdział mej wędrówki po bezbrzeżnych równinach dawnego imperjum rosyjskiego.

PIERWSZE ZETKNIĘCIE Z SOWIECKIM REŻYMEM

III

Wesołą gromadą ruszyliśmy w drogę. Gdy posterunek niemiecki zginął mi z oczu pozostałem nieco w tyle, by dokonać zmiany dokumentów. Zdjąłem więc rękawiczkę i wyciągnąłem schowany tam mandat, wystawiony w języku rosyjskim przez kijowską organizację P. P. S., na opróżnione zaś miejsce włożyłem zaświadczenie Ukraińskiej Centralnej Rady — licząc się z tem, że przyda mi się w powrotnej drodze. Mój towarzysz obserwował z boku wszystkie te manipulacje, lecz nic nie mówił.

Po pewnym czasie jakiś głos wewnętrzny zaczął mi szeptać, bym zniszczył dokument ukraiński.

— Poco masz troskać się o ukrywanie go — przekonywał mnie głos wewnętrzny — poco ryzykować, gdy niewiadomo kiedy będziesz powracać i jaką drogą? Czyż to jest zgodne z twą naturą myśleć o dniu jutrzejszym, być zapobiegliwym i troskliwym o przyszłość? Gdy przyjdzie czas, to i bez tego dokumentu wydostaniesz się z Bolszewji.

Mimo, że Domosławski radził mi stanowczo zachować dokument, twierdząc, że bolszewicy nie robią osobistych rewizji, — wewnętrzny głos, nalegający abym do-

kument ten zniszczył, był tak silny, że wyciągnęłem go z rękawiczki i podarłem na drobne kawałki. Wiatr pochwycił je skwapliwie i uniósł daleko, jak płatki okwitającej jabłoni.

We wsi Terechowka dowiedzieliśmy się którędy należy iść do Noworybkowa. Poradzono nam drogę przez wieś Wasiljewka, stamtąd do Horodni. Podziękowaliśmy za wskazówki i ruszyliśmy dalej, z przyjemnością oddalając się coraz bardziej od posterunku niemieckiego.

Raźno dotarliśmy do Wasiljewki. Weszliśmy do pierwszej z brzegu chaty, z zamiarem napicia się herbaty. Zastaliśmy w niej kobiecinę, która dość chętnie zgodziła się nas nakarmić i poczęła krzątać się koło samowaru. Nagle wpada kilkunastoletni chłopak, prawdopodobnie syn kobieciny i zaczyna gorączkowo coś szeptać matce do ucha. Na twarzy gospodyni odmalował się wyraz panicznego strachu.

Szybko zaczęła sprzątać ze stołu rozstawione przed chwilą naczynia, zwracając się jednocześnie do nas z błaganiem w głosie:

— Idźcie, idźcie stąd dobrzy panowie, idźcie prędzej — nie gubcie nas, biednych ludzi.

Mówiąc to, nerwowo popychała nas ku wyjściu.

Nic z tego nie mogłem zrozumieć. Widząc jednak, że trójka przygodnych znajomych rzuciła się pośpiesznie do drzwi, wziąłem mój plecak i wyszedłem na drogę. Trójki wesołych chłopaków ani śladu. Słychać było tyl-

ko tupot ich nóg i trzask gałęzi opłotków. Najwyraźniej — uciekali.

Zdziwiony, szukałem powodu tego popłochu. Rozglądając się wokoło ujrzałem na przeciwległym końcu wsi, przy wylocie ulicy, sylwetki dwuch żołnierzy z karabinami.

— Patrol bolszewicki — przemknęło mi przez myśl.

Zrozumiałą stała mi się ucieczka oficera i studenta medyka. Dlaczegóż jednak miałbym uciekać ja? — przecież właśnie do władz bolszewickich w Moskwie miałem interes.

Instynktownie czułem, że w tej chwili jedynym argumentem będzie zimna krew i pewność siebie. Skierowałem się więc z całym spokojem w kierunku patrolu. Wreszcie zbliżyłem się o tyle, że mogłem rozróżnić ich twarze. Jeden słusznego wzrostu drab, o pochmurnem wejrzeniu, trzymając pod pachą karabin, zpodełba mnie obserwował. Obok niego stał również w długim szynelu wojskowym młody chłopak, o dobrodusznym wyrazie twarzy, której głupawo-zabawny wygląd nadawał mały nos, zadarty do góry — jak guzik od dzwonka elektrycznego, proszący, zdawało się, by go nacisnąć.

Chłopak również miał karabin, zawieszony przez plecy na grubym sznurku, który zastępował mu skórzany pas.

Wreszcie stanąłem przed nimi.

— Dzień dobry. Może towarzyszu powiecie mi, kędy

prowadzi droga do wsi Horodnia — zapytałem ze spokojem, jak się pyta o informacje policjanta na rogu ulicy, w nieznanem mieście.

— Ja ci pokażę drogę, ty taki owaki synu, ty szpiegu przeklęty — wrzasnął starszy żołnierz, podsuwając mi jednocześnie pod nos olbrzymią pięść.

— Kto szpieg? Ja? — odparłem z całym spokojem. Dobry szpieg, który sam idzie na wasze spotkanie. Gdybym był szpiegiem, to dawnobym już zwiał.

Argumentacja nie była pozbawiona słuszności, więc żołnierz nieco uspokoił się.

— Skąd idziesz? — burknął.

— Idę z Kijowa do Moskwy, gdyż wysłany jestem w bardzo ważnej sprawie przez naszą organizację do Centralnego Komitetu Partji Komunistycznej.

W tym momencie zbliżył się do nas chłop, który stojąc na progu pobliskiej chaty uważnie przysłuchiwał się naszej rozmowie. Był to typowy chłop rosyjski — mały, ruchliwy, z dużą czarną brodą. Oczy biegały mu chytrze i niespokojnie.

— Więc mówicie, że jesteście towarzyszem — zagadnął mnie, przenikliwie patrząc w oczy.

— Pewnie, że towarzysz partyjny. Gdybym nim nie był, nie pchałbym się tu — odparłem uśmiechając się.

— Nie gniewajcie się towarzyszu, że Was tak badamy, ale tu włóczy się dużo różnych szpiegów — usprawiedliwiał się chłop.

— Rozumiem to dobrze, ale ja nim nie jestem. Zresztą wielu ludzi może to poświadczyć. Naprzykład towarzysz Krylenko, — to mój kolega z uniwersytetu petersburskiego, razem z nim wtedy pracowaliśmy.

Mówiłem prawdę. Z czasów studenckich w Petersburgu dobrze znałem Krylenkę, który już wówczas był wybitnym socjaldemokratą. Ja zaś należałem do P. P. S., lecz miałem stosunki i znajomości wśród socjalistów-rewolucjonistów rosyjskich. Obracając się w ich środowisku na jednej ze wspólnych „międzypartyjnych“ konferencyj poznałem Krylenkę i później dość często z nim się spotykałem.

Nazwisko Krylenki zrobiło duże wrażenie na moich rozmówcach. Pragnąc spotęgować efekt, wyciągnąłem matrykułę Uniwersytetu Petersburskiego i podałem ją chłopu.

— Widzicie — oto mój dokument, który świadczy, że byłem studentem Uniwersytetu Petersburskiego.

Chłop obejrzał matrykułę ze specyficzną powagą, świadczącą, że nie bardzo jest silny w czytaniu i wręczył ją żołnierzowi. Ten także potrzymał ją w ręku i zwrócił mnie. Chowając cenny dokument do kieszeni palta zauważyłem, że młody chłopak coś mruczy pod nosem.

— A o co mu chodzi? — zwróciłem się do chłopa.

— On mówi, że również jest bojownikiem o wolność, a Wy nie chcecie mu pokazać dokumentu.

— Ależ proszę, proszę bardzo.

Sięgnąłem po matrykułę i dla kawału, otwierając, odwróciłem ją „do góry nogami“ — w ten sposób wręczając ją ambitnemu „bojownikowi o wolność“. Chłopak ze skupioną miną wziął ją do ręki i przez chwilę trzymał przed zadartym nosem.

— W porządku — powiedział z powagą, zwracając mi dokument.

W międzyczasie towarzysz podróży, widząc, że rozmowa przybiera pokojowy charakter, zbliżył się do nas.

— A to kto taki? — zapytał żołnierz.

— To mój przygodny znajomy, z którym razem odbywamy drogę, żeby nam było raźniej.

Towarzysz mój w kilku słowach wyjaśnił w jakim służył pułku, dlaczego zdemobilizowano go i dokąd zdąża. W wyjaśnieniach jego brzmiała nuta przekonywującej szczerości, nie wzbudziły więc podejrzeń.

— No to idźcie sobie — zdecydował żołnierz bolszewicki, poczem wraz z młodocianym „bojownikiem o wolność“ skierował się wgłąb wsi.

Incydent należało uważać za skończony, mogliśmy zatem iść dalej. Byliśmy jednak głodni, zapytałem więc chłopa czy nie mógłby dać nam herbaty. Chętnie się zgodził i zaprosił do swej chaty. Biedny wygląd małej izby świadczył dobitnie, że jej właściciel jest małorolnym. Z rozmowy podczas przygotowania samowara przekonałem się o słuszności mego przypuszczenia. Widząc we mnie „towarzysza“ gospodarz nie ukrywał sympatji do

bolszewików. Można było nawet przypuszczać, że należał do organizacji, — tak dobrze był poinformowany o sytuacji w okolicy. Udzielił nam szczegółowych wskazówek co do dalszej drogi, zaznaczając, że pierwsze oddziały bolszewickie znajdują się po drugiej stronie grobli, którą musimy przejść. Wypiliśmy herbatę, zostawiliśmy trochę pieniędzy dzieciakom na cukierki i ruszyliśmy w dalszą drogę.

W miarę oddalania się od wsi, rosło we mnie uczucie przygnębienia. Źle i ciężko było na duszy. Analizując swój nastrój, zrozumiałem, że przygnębienie to było rezultatem spotkania pierwszego patrolu „bolszewickiego". Sprawiło mi wielką przykrość brutalne zachowanie się żołnierza bolszewickiego, — wciąż miałem przed oczyma jego wielką, brudną pięść.

W tej nieoczekiwanej i niezasłużonej brutalności była jakgdyby zapowiedź tego, co mnie czeka ze strony tych, do których szedłem z taką ufnością. Towarzysz mój również był dziwnie markotny — widocznie i on spodziewał się innego powitania. Szliśmy więc w milczeniu. Wreszcie weszliśmy na groblę, która, oceniając na oko, ciągnęła się kilka kilometrów wśród błot i stawów, widocznie naturalnego w tem miejscu frontu bolszewicko-ukraińskiego.

— A więc po tamtej stronie grobli są już „bolszewicy" — rozmyślałem — więc jeszcze pół godziny i zetknę

się z nimi. Lecz jeśli oni wszyscy są tacy, jak ten patrol niedawno spotkany?...

Zaczęła ogarniać mnie coraz silniejsza depresja moralna. Napięte nerwy odmawiały posłuszeństwa.

— Wróć, wróć! — zaczął szeptać demon słabości. — Poco idziesz? — i tak nic z tego nie będzie. Niemcy napewno już zajęli Paryż. Wojna się kończy. Poco więc masz się narażać, poco? Wracaj, — powiesz w Warszawie, że nie sposób było przedostać się, nikt i tak nie będzie mógł sprawdzić, jak było naprawdę.

Spojrzałem na mego towarzysza. Widać było, że przeżywa to samo co ja. Dość mi było zawrócić, aby i on uczynił to samo.

Przystanąłem. Jeszcze, jeszcze sekunda, a zawróciłbym. Nagle wyrósł mi przed oczyma obraz, jak na posiedzeniu Centralnego Komitetu P. P. S. w Warszawie zdaję sprawozdanie ze swej wyprawy i szeroko opowiadam i tłumaczę, dlaczego zrezygnowałem z podróży do Moskwy. I oto przeżywając w wyobraźni tę chwilę, widząc ją niemal w pełnej plastyce, ujrzałem nagle ledwie dostrzegalny uśmiech na twarzy jednego z członków Centralnego Komitetu, mego kolegi z czasów petersburskich, który umiał dziwnie łączyć uczucie przyjaźni z ustawiczną zazdrością i rywalizacją ze mną, impulsami, które często popychały go do szkodzenia mi w partji.

Uśmiech ten wypowiadał co myślałby ten mój „przy-

jaciel", gdyby ta wyimaginowana na bezludnej grobli scena stała się rzeczywistością. Uśmiech ten mówił:

— Bujaj! bujaj kochany, — poprostu strach cię obleciał!

Ten wyimaginowany uśmiech mego rywala i zazdrośnika uderzył mnie jak batem. Szybkim krokiem ruszyłem naprzód. W tej chwili wolałem zginąć, niż cofnąć się.

Może to była mała, śmieszna ambicja — lecz po dzień dzisiejszy błogosławię ją, bo pomogła mi przezwyciężyć chwilowy kryzys nerwów, wyczerpanych przeżyciami ostatnich czasów.

Od tego czasu, gdy jestem na zawodach hippicznych, rozumiem dlaczego kawalerzysta musi swego konia, naogół wspaniale biorącego wszystkie przeszkody, uderzyć nagle szpicrutą, często nawet przed łatwą przeszkodą, — rozumiem, że przychodzi na konia jedna sekunda załamania, a kres kładzie mu uderzenie bata.

Takiem mocnem uderzeniem był dla mnie wyimaginowany uśmiech człowieka, zresztą osobiście nie umiejącego i nie lubiącego ryzykować i narażać życia.

Szedłem szybkim krokiem naprzód, nie oglądając się nawet czy żołnierz idzie za mną, wiedząc dobrze, że niema takiej siły, która mogłaby mnie zmusić do cofnięcia się.

Wkroczyłem na długi most, rozpięty szeroko nad rzeką. Ani na moście, ani w okolicy nie było żywej duszy. Może właśnie ta pustka najbardziej przygniatała.

Lecz nagle, zdaleka, w dole rzeki, rozległo się jakieś trajkotanie.

— Oho, jak gra karabin maszynowy — zauważył żołnierz.

— To tak strzela karabin maszynowy? — wyrwało mi się zapytanie.

— A czyżby Pan nigdy nie słyszał strzelającego karabinu maszynowego? — zagadnął żołnierz, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

Skręciłem się wewnętrznie. Żołnierz nieświadomie dotknął największej ówczesnej bolączki i męki mej duszy. Tak jest, należałem wówczas do tej nielicznej garstki zdrowych mężczyzn, którzy nie byli na froncie i nie zaznali życia okopowego. Czułem, że będzie dla mnie wewnętrznem upokorzeniem na całe życie, iż będę należał do tej garści mężczyzn, którzy nie wiedzą co znaczy życie w okopach, jak świszczą kule, jak gra karabin maszynowy, jak śpiewa szrapnel.

Nic nie odpowiedziałem żołnierzowi i w milczeniu posuwałem się naprzód.

Stanęła mi nagle przed oczyma scenka z mego powrotu z obozu niemieckiego do Warszawy, która wżarła mi się w pamięć. W wagonie trzeciej klasy pełno było żołnierzy niemieckich, jadących z urlopów na front wschodni. Mieli smutne, zmęczone twarze, — każdy już dobrze wiedział co go czeka na polu walki. I wśród tych

żołnierzy znalazł się młody Niemiec, który z wielkiem zainteresowaniem rozpytywał sąsiadów o życie na froncie, tłumacząc, że nie został wzięty do wojska z powodu ciężkiej choroby serca.

Nigdy nie zapomnę pogardliwej pobłażliwości i wyraźnej niechęci, z jaką żołnierze mu odpowiadali. Poprostu dziwił ich ten mężczyzna, który nie znał wojny — bezwiednie więc wzbudzał w nich niechęć i pobłażliwość.

— Tak samo i mnie będą traktować — myślałem wówczas obserwując tę scenkę.

Tak, wstydziłem się, że nie byłem na froncie, chociaż, zaiste, nie było w tem mojej winy.

Natychmiast po wybuchu wojny udałem się do Warszawy, z postanowieniem przedostania się do Legjonów. Los chciał, że w przeddzień wyjazdu do Radomia przypadkowo spotkałem w teatrze Adama Koca, którego znałem ze Związku Strzeleckiego w Krakowie. Od niego dowiedziałem się, że jest komendantem P. O. W. w Rosji i że z tytułu swej władzy rozkazuje mi pozostać w Warszawie, dla wzięcia udziału w pracach tej organizacji.

Zaczął się rok denerwującej i niewdzięcznej pracy konspiracyjnej. Wreszcie Niemcy zajmują Warszawę, a ten fakt otwiera przede mną nadzieję upragnionego wymarszu z Bataljonem Warszawskim do I Brygady. Tymczasem znowu rozkaz pozostania, z przeznaczeniem do pracy zakładania P. O. W. przeciwko Niemcom. Zdołałem jednak wybłagać zgodę, że w trzy tygodnie później,

z oddziałem Świtka-Miedzińskiego, wyjadę na front. Na kilka zaś dni przed wyjazdem zostałem aresztowany przez władze niemieckie, poczem nastąpiła dziewięciomiesięczna, pełna upokorzeń, poniewierka w obozach dla jeńców w głębi Niemiec.

Po powrocie do Warszawy organizacyjna odprawa u Walerego Sławka, który w swej mansardzie na Marszałkowskiej skupiał wszystkie nici politycznej roboty Komendanta na terenie Kongresówki.

Ach ten Sławek! Taki miękki i delikatny w stosunkach osobistych, a taki bezwzględny, gdy chodzi o dobro sprawy. Zakomunikowałem o mem pragnieniu udania się na front. Otrzymałem od Sławka krótką odpowiedź, że jest to idjotyzm, gdyż Komendant coraz większą ilość, nietylko szeregowców ale nawet i oficerów politycznie wyrobionych, odsyła z Brygady na tyły, do zorganizowania P. O. W., że nie jest to czas do zaczynania służby wojskowej od szeregowca, wtedy, gdy mam już duże doświadczenie w robocie politycznej. Dostaję wobec tego przydział do Zdanowicza, dowódcy bohaterskiego wypadu nad Nidą, a wówczas komendanta Okręgu Warszawskiego P. O. W., którego właśnie przed chwilą poznałem u Sławka.

Na drugi już dzień zameldowałem się w jego zakonspirowanem biurze i odrazu wzięty zostałem w stalowe tryby potwornej energji i genjalnych zdolności organizatorskich, jednej z najwspanialszych postaci w dziejach ru-

chu niepodległościowego. Tak mocno wzięły mnie te tryby, że zagnały aż tu, na te błota pod Homlem i każą wciąż iść naprzód.

Ileż to razy usprawiedliwiałem siebie, przebiegając w myślach wszystkie etapy mego życia, stale oddalające mnie od frontu, — a jednak nieraz świętokradzko ośmielałem się skarżyć na los i złorzeczyć w duchu spotkaniu z Adamem Kocem.

Uwaga sierżanta, błysk zdziwienia w jego oczach, z nową siłą obudziły żal i boleśnie dotknęły wciąż krwawiącą ranę mej duszy.

— Przynajmniej teraz będę wiedział, jak strzela karabin maszynowy — myślałem z ironją, przysłuchując się dalekiemu zajadłemu szczekaniu tej „maszynki".

Los łaskawy pozwolił mi w dwa lata potem strzelać osobiście z karabinu maszynowego w powstaniu na Górnym Śląsku, być żołnierzem 201 pp. i poznać w szybkiem tempie przeżycia wojenne, tajniki i wzruszenia ataków, nocnych wypadów, cofania się i uciążliwych marszów, wegetacji rannego żołnierza w szpitalu wojskowym, by wreszcie wyjść stamtąd z tak gorąco, w najgłębszych tajnikach duszy, upragnioną niebiesko-czarną wstążeczką krzyża, będącego źródłem dozgonnej dumy każdego żołnierza.

A jednak mimo to i dziś jeszcze w głębi duszy tkwi cichy smutek, że los nie pozwolił mi wziąć bezpośredniego udziału w nieśmiertelnej epopei Legjonów, że Konary,

Łowczówek, Rokitno są dla mnie tylko wspomnieniami serdecznych wzruszeń i zazdrości. Cóż z tego, że i ja dostałem od Komendanta odznakę „Za wierną służbę", gdy w głębi duszy mam przekonanie, że każdy taboryta, który z I Brygadą zmierzył Polskę od Przykarpacia do Stochodu, ma większe niż ja moralne prawo do noszenia tego cudnego znaku.

Most wreszcie się skończył. Jeszcze pół kilometra grobli i wkraczamy do wsi. Z chaty, stojącej tuż przy grobli, wychodzi jakiś żołnierz z rewolwerem przy pasie i woła do nas:

— Chodźcie no tu.

Zbliżamy się do niego.

— Za mną — rzuca rozkazująco, zawracając do chaty.

Idziemy.

W izbie panuje półmrok i straszna duchota. Poprzez kłęby dymu widać przy stole, na którym stoi butelka wódki, kilku siedzących chłopów, parę bab i żołnierza. Przy spódnicach matek wiszą dzieciaki.

— Złapałem szpiegów — mówi spokojnie żołnierz, siadając przy stole.

Słysząc te słowa tak zgłupiałem, że nie wiedziałem co powiedzieć, więc ze zdziwieniem tylko spojrzałem na mego towarzysza.

— Kto?... my szpiedzy? — zawołał ten szczerze zdu-

miony. — Spotkał spokojnych ludzi w biały dzień na ulicy wiejskiej i zaraz z nich robi szpiegów.

— Nie będziemy tu o tem gadać. Zaprowadzę was do komendy, to tam zobaczą kim jesteście. Zaczekajcie trochę, zaraz tam pójdziemy. Mówiąc to żołnierz nalał sobie spokojnie wódki.

Nikt z obecnych nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Całe towarzystwo milczało, wycierając tylko od czasu do czasu spocone czoła i pijąc dużemi kieliszkami wódkę. Wreszcie butelka została opróżniona.

— Idziemy — zwrócił się do nas żołnierz, biorąc czapkę. A ty tu dobrze pilnuj — rzucił w stronę swego towarzysza.

Widocznie był to patrol bolszewicki, który wygodnie siedząc przy oknie i popijając wódkę obserwował wszystkich nadchodzących od strony grobli, gdyż innej drogi, prowadzącej do wsi, nie było.

Wyszliśmy. Żołnierz milcząc szedł przed nami. Minęliśmy chaty i wyszliśmy w pole. Po kilku kilometrach marszu ujrzeliśmy inną wieś. Uderzyło mnie tu niezwykłe ożywienie, panujące na ulicy. W miarę posuwania się coraz większe ogarniało mnie zdumienie. Wszyscy byli pijani.

Co krok spotykało się grupę chłopów całujących się i wpadających sobie w objęcia, lub też leżących bezwładnie pod chatami. Baby z rozczochranemi włosami, pijanemi, wysokiemi głosami wyły smętne piosenki.

Co krok nowa pijana grupa, nowy „trup“ — wrzaski, krzyki, przekleństwa.

Często wśród tych grup spotykało się i pijanych żołnierzy. Kilku wyrostków z blademi twarzami, słaniając się i czepiając drzew i płotów, wymiotowało w sposób straszliwy.

Nic podobnego w życiu nie widziałem. Boję się skłamać, ale mam wrażenie, że widziałem w rowach kilka świń, leżących na grzbietach z zadartemi do góry nogami.

— Z jakiej racji ta orgja pijacka? — zapytywałem ze zdumieniem, obserwując to wszystko.

Weszliśmy do budynku gminnego. Tu również działo się coś niesamowitego. Przy ścianach, wśród zwalonych płaszczów, koców i karabinów, spali żołnierze, inni znowu, w rozpiętych mundurach, chwiejnym krokiem, włóczyli się po dużej izbie.

— Szpiegów przyprowadziłem — powiedział żołnierz — podchodząc do stołu, przy którym siedział w czarnej koszuli blondyn o inteligentnym i spokojnym wyrazie twarzy, a co ważniejsze, zupełnie trzeźwy.

— Szpiedzy?... dawać ich tu — rozległy się pijane głosy. „Pod stienku“ tych sobaczych synów, szpiegów ukraińskich.

Poczułem, że wpadłem w groźną opresję. Od przytomności umysłu i spokoju zależał mój ratunek — tembardziej, że miałem czyste sumienie.

— Przepraszam towarzyszu, czy wy jesteście komendantem tego oddziału — zwróciłem się do blondyna.

— Nie, jestem tylko adjutantem dowódcy.

— A gdzie on jest?

— Zaraz tu będzie.

— Pozwólcie towarzyszu, że się wam przedstawię. Jestem Hołówko, delegat P. P. S., który z polecenia partji udaje się w ważnej sprawie do Centralnego Komitetu Komunistycznej Partji w Moskwie, — powiedziałem wyciągając rękę do adjutanta.

Nieco zdziwiony i zaskoczony moją pewnością siebie, adjutant uścisnął moją dłoń, przedstawiając mi się jako Pietrow.

— Towarzyszu — ciągnąłem dalej ze szczerem oburzeniem — muszę stanowczo zaprotestować przeciwko traktowaniu mnie jako szpiega. Cóż to za szpieg, który sam idzie do was w biały dzień, a gdy zatrzymuje go wasz posterunek, bez słowa protestu idzie za nim. Zresztą tu jest mój mandat, — mówiąc to, wyciągnąłem pełnomocnictwo wystawione mi przez organizację kijowską P. P. S., wyraźnie zaznaczające, że udaję się do władz bolszewickich w Moskwie z polecenia partji.

Adjutant uważnie przeczytał mandat i zwracając mi go powiedział.

— Proszę poczekać, zaraz przyjdzie dowódca, — postaramy się wszystko wyjaśnić.

— Jakto wyjaśnić? — zawołałem — chyba jest jasną rzeczą kim jestem.

— Widzicie towarzyszu, — cichym głosem zwrócił się do mnie adjutant — ja Wam wierzę, ale spójrzcie na nich, toż to pijana banda, która nic nie rozumie. Ja jeden w tym oddziale jestem starym, przedwojennym komunistą, reszta zaś to zwykli żołnierze — dzieci rewolucji. Zamordowanie człowieka nic ich nie kosztuje. Przed kilku dniami dowódca kazał rozstrzelać złapanego uczniaka-żyda, przy którym znaleziono podręcznik esperanto. Uparł się, że to umówiony język szpiegów i rozstrzelał chłopca. Kilku złapanych oficerów rozstrzelaliśmy. Cóż robić, tu istotnie dużo szpiegów się kręci.

— Ładna perspektywa — pomyślałem z przerażeniem. Postanowiłem jednak nadal się bronić.

— Trzeba przyznać, że mile przyjmujecie tych, którzy udają się do was z całem zaufaniem i sympatją. Od tylu lat jestem socjalistą, siedziałem w więzieniu carskiem, a teraz takie powitanie przez pierwszy oddział rewolucyjny, który spotykam, — z oburzeniem i dość głośno, aby wszyscy słyszeli, robiłem wyrzuty adjutantowi.

— Ja nie mówię, że napewno was spotka coś złego towarzyszu, tylko radzę wam mieć się na baczności — usprawiedliwiał się szczerze blondyn. Powiedzcie mi jeszcze towarzyszu, czy nie macie przypadkiem przy sobie żadnych książek, papierów lub broni.

— Książek i papierów, prócz matrykuły uniwersyteckiej i dokumentu, który wam pokazałem, nie mam. Mam natomiast w plecaku mały brauning.

Mandatu, wystawionego przez Moraczewskiego i Rydza-Śmigłego w Krakowie, tym razem zaszytego starannie w kołnierzu palta, postanowiłem nie ujawniać, obawiając się, że w tem pustkowiu jego polski tekst może bardziej utrudnić moją i tak ciężką sytuację.

— To dobrze. Pamiętajcie tylko, że jeśli dowódca zapyta was o broń, to trzeba odrazu przyznać się, że ją posiadacie, bo za ukrywanie rozstrzeliwują bez namysłu.

— Powiedzcie mi towarzyszu, dlaczego jest tylu pijanych we wsi, czy to może dziś jakie święto?

— Jakie tam święto — skrzywił się adjutant. Poprostu opodal wsi jest gorzelnia, nieczynna od początku wojny. Cały zapas wódki, znajdujący się wówczas w gorzelni został opieczętowany i tak przetrwał do tej chwili. Obecnie zaś dowódca naszego oddziału kazał składy odpieczętować, jakoby dla zniszczenia zapasów. Rezultat jest taki, że cała wieś i oddział od trzech dni nurzają się w spirytusie. Dlatego tu siedzimy i nie ruszamy dalej.

W tej chwili drzwi chaty otworzyły się z łomotem i do izby wtargnęła gromada żołnierzy z karabinami w ręku i pełnemi naboi ładownicami przy pasach. Na czele towarzystwa szedł małego wzrostu żołnierz, robiący wrażenie robociarza. Uzbrojony był w wielki nagan

zawieszony na pasie, oraz szablę oficerską. Był tak pijany, że ledwie trzymał się na nogach.

— Możecie być spokojni towarzysze — rozpoczął przemówienie do żołnierzy głosem ochrypłym — żadnemu z was nie stanie się krzywda, nikomu włos z głowy nie spadnie, tak was stąd wyprowadzę.

— Ależ towarzyszu komendancie, my chcemy iść z pomocą naszym, którzy biją się i proszą o pomoc, a tymczasem trzeci dzień tu pijemy. Tak się nie robi, to wstyd. Banda jakaś, a nie rewolucyjne wojsko — rozległy się wzburzone głosy wśród żołnierzy przybyłych wraz z nim, a którzy prawdopodobnie wyciągnęli go z jakiej libacji, lub miłosnych objęć przygodnej kochanki.

— Milczeć! — wrzasnął pijany dowódca, chwytając za kolbę nagana — ja tu jestem dowódcą. Mówię wam, że wyprowadzę was stąd i nie pozwolę wam zrobić żadnej krzywdy. Szykować się do wymarszu.

W izbie zapanował jeszcze większy rozgardjasz. Rozległy się przekleństwa i wyzwiska pijanych, których budzono i zmuszano do wychodzenia na ulicę. Inni znowu, z nieodstępnemi u Rosjan przy każdej czynności wspominaniami matek, szukali swoich karabinów i płaszczów, pozostali wreszcie ciągnęli karabiny maszynowe.

— A to co za jedni? — zwrócił się nagle dowódca do adjutanta, wskazując nas.

— A to ja szpiegów złapałem — zawołał żołnierz, który nas przyprowadził.

— On mówi, że jest delegatem Polskiej Partji Socjalistycznej — nieśmiało wtrącił adjutant, widocznie lękający się swego dowódcy.

— Polskiej? A więc ty Polak? — zwrócił się do mnie dowódca.

— Tak, — Polak. Jestem delegatem Polskiej Partji Socjalistycznej.

— A więc Polak. Wszyscy Polacy — to „pany", lub szpiedzy, którzy wysługują się Centralnej Radzie Ukraińskiej. Hajda z nim za chatę — krzyczał dowódca, z trudem trzymając się ręką stołu, by nie upaść.

Czułem, że przyszedł krytyczny moment.

— Czy wy oszaleliście towarzyszu, czy też jesteście tak pijani, że nic nie rozumiecie. Przecież wyraźnie wam mówię, że jadę do Moskwy w bardzo ważnych partyjnych sprawach. Jeśli nie zostawicie mnie w spokoju, to będę zmuszony przy pierwszej okazji poskarżyć się na was towarzyszowi Leninowi.

— Oho, towarzyszowi Leninowi. Czy nie za wysoko sięgacie towarzyszu — zauważył z pewnym przekąsem, wyraźnie zgorszony, adjutant.

Po tem zgorszeniu można było poznać w nim starego, ideowego komunistę. Moja pewność, że będę dopuszczony do Lenina musiała go więc szczerze oburzyć.

Zauważyłem jednakże, że nazwisko Lenina zrobiło duże wrażenie na dowódcy, który jakgdyby nieco podciągnął się i wytrzeźwiał.

— Tak, towarzyszowi Leninowi — odparłem z największą pewnością siebie. Właśnie towarzyszowi Leninowi, — bo skąd wy wiecie kto ja jestem i w jakich sprawach jadę do Moskwy. Widzicie, tu jest mój mandat, z którego widać, że jestem delegatem. Będę więc u towarzysza Lenina i opowiem mu jak tu witają delegatów, którzy jadą do niego w ważnej misji.

Czułem, że w chwili tej skutecznie rywalizują we mnie Fredrowski Papkin z Chlestakowem Gogola; jednocześnie jednak uświadamiałem sobie, że tupet jest jedynym środkiem poskromienia tego pijanego prostaka.

— Tak, ale jedziecie z Kijowa, gdzie jest Centralna Rada Ukraińska, a wiadomo wszystkim, że „pany polskie“ idą z nią — upierał się komendant, ale mniej już pewnym głosem.

— Tak, z Kijowa, lecz czy partja komunistyczna niema w Kijowie tajnych organizacyj? Może „polskie pany“ idą z Centralną Radą Ukraińską, ale ja jestem starym socjalistą i rewolucjonistą, który siedział w więzieniach carskich.

— Każdy dziś opowiada, że w więzieniach siedział. Ja muszę jednak aresztować ciebie — upierał się komendant.

— Dobrze, aresztujcie, żądam jednak, by po zaaresztowaniu niezwłocznie odstawiono mnie do towarzysza Krylenki.

— Do towarzysza Krylenki? — zdziwił się szczerze komendant. A to dlaczego?

— Dlatego, że towarzysz Krylenko jest moim kolegą z czasów uniwersyteckich i jak mnie zobaczy to cała historja odrazu się wyjaśni. Proszę więc odesłać mnie do towarzysza Krylenki.

— Gdzie ja go będę teraz szukał?

— Mnie to nic nie obchodzi. Pozwólcie mi jechać do Moskwy, lub też odsyłajcie mnie do towarzysza Krylenki. Oto moja matrykuła z Uniwersytetu Petersburskiego, wystawiona w 1909 roku. Każdy kto zna towarzysza Krylenkę wie, że on w tych latach również był studentem tego uniwersytetu — powiedziałem, wręczając matrykułę komendantowi.

Ten wziął ją i oglądał niepewnie na wszystkie strony, nie wiedząc dobrze co z nią począć.

Wyręczył go adjutant. Wziął matrykułę, uważnie obejrzał, porównał fotografję ze mną i pokazując ją otaczającym żołnierzom stwierdził, że jest to faktycznie matrykuła uniwersytecka i że Krylenko był również w tym czasie studentem petersburskiego uniwersytetu.

— Rzeczywiście czego ty czepiasz się towarzyszu — rozległy się głosy wśród żołnierzy. — Widać przecież, że to nasz człowiek, a ty pijany ciskasz się i wrzeszczysz. Wstyd tylko nam robisz.

Odetchnąłem. Poczułem, że sytuacja zaczyna się poprawiać.

— Milczeć tam. Ja tu jestem dowódcą i wiem co mam robić! — zaperzył się dowódca.

— A ty kto? — zwrócił się nagle do mego towarzysza podróży.

— Jestem sierżantem zdemobilizowanego pułku piechoty i udaję się do stron rodzinnych.

— Znamy takich sierżantów — ty sobaczy synu. Mnie nie okłamiesz — jesteś napewno oficerem. Rozstrzelać go.

— Ależ słuchajcie towarzyszu — toż to prosty żołnierz, którego poznałem w drodze i przez cały czas z nim razem przebywałem. Przecież on ma dokumenty zwolnienia.

Byłem tak oburzony, że nie mogłem powstrzymać się, by nie zaprotestować przeciwko potwornemu lekceważeniu życia ludzkiego.

— Co Wy tam gadacie. Dość spojrzeć na mordę, aby widzieć, że oficer. Ja się dobrze znam na nich — mnie nie oszukacie.

Jak już zaznaczyłem, mój towarzysz podróży istotnie wyglądał na oficera, który wyszedł ze środowiska sierżantów i chorążych. Żołnierz stał blady, lecz spokojny.

— Na Boga przysięgam, że jestem sierżantem. Możecie zgubić niewinnego człowieka, ale grzech spadnie na wasze sumienie, towarzyszu komendancie.

— Zobaczymy. Zrewidować go — rzucił komendant

do kilku żołnierzy, którzy stale go otaczali, stanowiąc prawdopodobnie najbliższe jego otoczenie.

Zaczęła się rewizja. Sierżant miał tylko dużą, żołnierską torbę, zawieszoną przez ramię. Nic, prócz prostej, żołnierskiej pary bielizny, płóciennego ręcznika, kawałka mydła i grzebienia nie znaleziono.

— Rozebrać go. Zobaczymy jaką ma koszulę — rzekł komendant.

Żołnierz zaczął rozpinać mundur, z pod którego ukazała się prosta, kolorowa, perkalowa koszula.

— Dość! — zawołał komendant. — Całe twoje szczęście, że nie masz na sobie białej, oficerskiej koszuli, bo już za chwilę gryzłbyś tam w ogrodzie ziemię — chrapliwym pijackim głosem zaśmiał się komendant.

Patrzyłem na tę scenę z niedowierzaniem. Nie mogłem uwierzyć, by życie ludzkie zależało od tego jaką się ma na sobie koszulę. W tej chwili stanęła mi przed oczyma wesoła trójka, która nam zwiała przy zetknięciu się z pierwszym patrolem bolszewickim. Jak dobrze zrobili, uciekając wówczas. Dobrze dla nich i dla nas. Napewno wesoły, pełen radości życia student, miał białą koszulę...

— Ale i jego trzeba zrewidować — wskazując na mnie, powiedział jeden z rewidujących.

— Naturalnie — zawołał komendant, który o ile był widocznie nieskory do walk z oddziałami ukraińskiemi, o tyle chętnie zajmował się wyłapywaniem i roz-

prawą z prawdziwymi i domniemanymi szpiegami oraz kontrrewolucjonistami.

— Proszę bardzo — zgodziłem się skwapliwie, poddając się osobistej rewizji.

Zgodziłem się tak chętnie, gdyż sądziłem, że rewizja ograniczy się jedynie do mej osoby, plecak zaś w którym był brauning, zostawią w spokoju.

Dwu żołnierzy zaczęło mnie rewidować. Kazali mi zdjąć palto. Jeden zajął się niem, drugi wywracał mi kieszenie ubrania, szczegółowo przeglądając zawartość portfelu.

Patrzyłem na to spokojnie, wiedząc, że nie mam nic przy sobie, a mandat Moraczewskiego i Rydza-Śmigłego był tak dobrze zaszyty, że trzeba byłoby popruć całe palto. Nagle widzę, że żołnierz zajął się paltem, wyciąga z kieszeni rękawiczki i zaczyna je szczegółowo badać. Po chwili każda rękawiczka została rozdzielona — to znaczy jedna rękawiczka zdjęta z drugiej. Zamarło mi na chwilę serce. Przecież między rękawiczkami miałem zamiar schować ukraiński dokument. Zamajaczyły mi przed oczami białe płatki podartego na drobne kawałki dokumentu. Teraz zrozumiałem dlaczego głos tajemny kazał mi zniszczyć go. Gdybym tego nie zrobił, za chwilę gryzłbym ziemię gdzieś pod płotem — jako agent Centralnej Rady Ukraińskiej i co gorsza, w ostatniej chwili mego życia musiałbym w duchu przyznać, że formalna racja była po stronie pijanego watażki.

Osobista rewizja nie dała żadnych rezultatów. Zabrano się do plecaka. Poczułem, że znowu zbliża się moment krytyczny.

— Słuchajcie towarzyszu — zwróciłem się do adjutanta — przypominam Wam, że uprzedzałem, iż mam w plecaku brauning.

Adjutant kiwnął tylko głową. Widocznie i on miał nadzieję, że pijany żołnierz zadowoli się powierzchowną rewizją. Tymczasem rewidujący plecak był widocznie majstrem swego fachu. Kiwał się na krześle w takt czkawki, która go męczyła, a pomimo to, lub może właśnie z pijackim uporem wyciągał z plecaka każdą sztukę bielizny, rozwijając ją i oglądając na wszystkie strony. Czułem, że z każdą chwilą robię się bledszy. Każde wsunięcie ręki żołnierza do plecaka przybliżało moment katastrofy. Wreszcie nieszczęsny ręcznik. Żołnierz z takim samym spokojem rozwija go i za chwilę na kolanach jego leżał mały brauning, odbijając w djabelskim kontraście od białego tła ręcznika.

— A co — nie mówiłem? Szpieg! — zawołał komendant, chwytając brauning i triumfująco nim wymachując.

Zrobił się gwałt.

— Widzieliście go ptaszka — broń przemyca. Dość z nim... pod ściankę — rozległy się wzburzone głosy.

— Przepraszam bardzo — zawołałem, siląc się możliwie na największy spokój. Jak tylko tu wszedłem odrazu

powiedziałem towarzyszowi, że mam w plecaku brauning. Powiedziałem to Wam, czy nie — zwróciłem się wprost do adjutanta, który wyraźnie był po mojej stronie, lecz widać było, że w tem towarzystwie nie odgrywa poważniejszej roli i nie cieszy się zbytnim autorytetem.

— To dlaczego był tak głęboko schowany w plecaku? — zawołało naraz kilku.

— Słuchajcie towarzysze — powiedziałem — albo wierzcie mi, że jestem towarzyszem albo aresztujcie, jeśli mi nie ufacie, ale nie róbcie ze mnie szpiega, bo to niema sensu i obraża mnie. Weźcie na rozum. Cóż to za szpieg, który ubrany jest po cywilnemu, który w biały dzień sam pcha się do was, a gdy zobaczył posterunek — nie ucieka. Gdybym faktycznie był szpiegiem, to przekradałbym się w nocy i broń miałbym w kieszeni a nie w plecaku. Przecież z Kijowa jechałem koleją. Ukraińcy robią rewizje, musiałem więc schować brauning przed nimi, a na wasz teren dopiero wszedłem i nie miałem jeszcze czasu go wyjąć. Przecież każdy rewolucjonista w dzisiejszych czasach ma brauning. Macie i wy broń towarzysze — mówiłem zwracając się do komendanta i do adjutanta.

— To jest co innego — my jesteśmy wojskowi, ale cywilny człowiek nie może mieć broni. Za to u nas kulka w łeb — wołał watażka, wymachując moim rewolwerem.

— Słuchajcie towarzyszu komendancie — zawołałem już zirytowany i zmęczony tą walką. Jeszcze raz Wam powtarzam, jeśli mi nie ufacie odeszlijcie mnie do towa-

rzysza Krylenki. Jeżeli jestem szpiegiem, to i on potrafi mnie rozstrzelać, ale naprawdę wstyd czepiać się człowieka, który do was tu z ufnością przyszedł. Nie poto siedziałem w carskich więzieniach i wszy mnie jadły po „etapach", abyście teraz tu mnie obrażali.

— On ma rację. Czego ty się czepiasz porządnego człowieka. Wstydu doprawdy nie masz. Spokojnych ludzi dręczy, a iść pomagać w walce towarzyszom nie chce — rozległy się głosy.

Dowódca widząc ten atak na siebie zgłupiał. Po chwili jednak zaczął wymyślać oponentom, skacząc do oczu żołnierzowi słusznego wzrostu o poczciwej twarzy, który od początku najbardziej oburzał się, że oddział nie idzie walczyć. Ten ostatni ze swej strony tęgo wymyślał dowódcy. Stali naprzeciw siebie i za chwilę zaczęłaby się między nimi bijatyka, tembardziej, że większość obecnych była po stronie protestującego żołnierza.

Gdybym pisał powieść, mógłbym rozwinąć obraz, jak korzystając z tego momentu wyrwałem z rąk watażki mój brauning, wystrzeliłem do niego kładąc go trupem, siebie zaś ogłosiłem dowódcą oddziału, który następnie odprowadził mnie triumfalnie do najbliższej stacji kolejowej.

W rzeczywistości jednak było inaczej. Rzuciłem się między powaśnionych i począłem ich uspakajać, rozumiejąc dobrze, że jeśli dojdzie do bójki, to najgorzej na niej wyjdę.

Po chwili nastąpiło uspokojenie. Komendant już wię-

cej nie podnosił kwestji mego aresztowania. Uparł się natomiast skonfiskować mój brauning. Instynkt podpowiedział mi, że jeśli nie chcę wypaść z roli wybitnego rewolucjonisty i niemal osobistego przyjaciela Lenina, to nie mogę odrazu zgodzić się na zabranie mi broni. Zaprotestowałem energicznie, oświadczając, że jestem taki sam towarzysz jak on, więc nie ma prawa mi konfiskować broni.

Komendant jednak twierdził kategorycznie, że w Sowieckiej Rosji nikt nie ma prawa posiadać broni prócz wojskowych. Zaproponowałem więc, by zabrał mi magazyn z nabojami, względnie, by odesłał brauning do Moskwy, do Centralnego Komitetu Komunistycznej Partji, gdzie go odbiorę. Watażka upierał się jednakże przy swojem, nie ukrywając zresztą, że chce skonfiskować mi brauning na swój własny użytek.

— Taka ładna broń. Taki maleńki, zgrabny brauning. Przyda mi się. Włożę do kieszeni i nikt się nie domyśli że mam tam broń, — zachwycał się, oglądając mój rewolwer na wszystkie strony.

Czułem, że nie należy dłużej przeciągać struny, bo pijany komendant może znowu wpaść w szał.

— A to co innego. Jeśli Wam towarzyszu podoba się mój brauning, to weźcie go sobie, a mnie dajcie inną broń.

— Ej, bratku, czego ci się zachciewa? — odparł. — Kto słyszał, aby oddział oddawał broń — nigdy jej nie

jest zadużo wojskowym. A ten brauning to nie broń, a zabawka — taki on mały i ładniutki — zaczął znowu po pijanemu rozczulać się watażka.

— No trudno, — jak się Wam podoba, to weźcie go sobie na pamiątkę, ale pamiętajcie, że to ja go Wam podarowałem z własnej dobrej woli. Zgoda?

— Zgoda, naturalnie, że zgoda. Dziękuję. Bardzo miła zabawka — zawołał ucieszony, niepostrzeżenie ulegając mojej pewności siebie.

Patrząc jak komendant pokazuje mój brauning swym towarzyszom, już jako swoją własność — przykro mi się zrobiło i nieco wstyd, że oddałem swą broń, lecz cóż mogłem uczynić, — przecież walczyłem o nią do ostatka.

— Słuchajcie, towarzyszu — zwrócił się do mnie półgłosem adjutant — poproście komendanta, aby kazał mi wystawić dla Was przepustkę do Moskwy, bo bez niej nie sprzedadzą Wam biletu na kolei.

Z wdzięcznością spojrzałem na mego opiekuna.

— Towarzyszu komendancie, czy już wydaliście rozkaz, aby wystawiono mi przepustkę do Moskwy? — zwróciłem się bezczelnie do watażki.

Adjutant stał przy mnie, czekając na rozkaz.

— Dać mu — rzucił komendant przez ramię, zajęty zapinaniem szynela i szykowaniem się do wymarszu.

Adjutant wyciągnął z teczki blankiet, na którym wypisał przepustkę. Na blankiecie kauczukowym stemplem odbity był następujący nagłówek: „Pierwszy partyzancki

oddział do walki z kontrrewolucją, spekulacją i sabotażem".

— Ach, więc to partyzancki oddział — pomyślałem. — Znana rzecz — partyzancki. Ładnie trafiłem, niema co mówić.

Tymczasem adjutant, ładnym, kancelaryjnym charakterem pisma, dla którego być może był tolerowany wśród tej bandy, wypisał na moje nazwisko przepustkę, stwierdzającą, że udaję się do Moskwy i że wszystkie urzędy wojskowe i cywilne winny okazywać mi pomoc.

— A teraz trzeba postawić pieczęć, którą ma dowódca i uzyskać jego podpis — zwrócił się do mnie z pewnem zakłopotaniem adjutant.

— Dajcie mi ten papierek. — Mówiąc to wziąłem przepustkę i zbliżyłem się do komendanta, który, rozwaliwszy się na ławce z opuszczoną na piersi głową, drzemał po pijanemu.

— Towarzyszu komendancie — musicie tu postawić pieczątkę — zwróciłem się do niego, lekko dotykając jego ramienia.

— Co? Pieczątka... Dobrze... zaraz — co mówiąc zapuścił rękę do kieszeni swego szynela.

Jak sztubak pierwszej klasy począł wyciągać z kieszeni brudną chustkę, jakiś sznurek, scyzoryk, kawałek chleba, magazyny z nabojami, wreszcie małą poduszeczkę z tuszem i upragnioną pieczątkę. Z powagą nacisnął

pieczęć o poduszeczkę, chuchnął i przyłożył ją do papieru.

— A teraz trzeba podpisać — powiedziałem.

W tej chwili wpadło do chaty kilku żołnierzy z krzykiem i przekleństwami.

— Ty sobaczy synu — kiedy wreszcie dasz rozkaz wymarszu. Czy ty pijana swołocz nie słyszysz jak tam trajkoczą karabiny maszynowe. Już trzy razy przysyłają po pomoc, a ty nic — sobacza mordo. Tobie tchórzu tylko wódkę chlać, a nie za rewolucję walczyć.

— Kto swołocz, kto tchórz? — zerwał się na nogi watażka. — Powiedziałem wam, że was tak wyprowadzę, że nikomu włos z głowy nie spadnie.

— Nie gadaj pijana mordo, a dawaj rozkaz wymarszu, albo go damy sami, a ty tu zostań sobaczy synu.

Watażka zmienił ton — poczuł, że nie jest z nim dobrze.

— Towarzysze, bracia rodzeni, toż ja zawsze z wami; kto wam powiedział, że ja nie chcę bić się. Wstawać tam, sobacze syny i wychodzić — wrzeszczał, biegając po izbie i kopiąc nogami najbardziej pijanych i ociągających się ze wstawaniem.

Wśród krzyków i przekleństw zaczęto wychodzić z izby. Wszystko to trwało krótką chwilę.

W ślad za biegającym i krzyczącym watażką chodziłem i ja, trzymając pióro i raz poraz prosząc go o podpis. Wreszcie schwyciłem go poprostu za rękaw, wsunąłem

pióro do ręki mówiąc: proszę podpisać. W zdenerwowaniu, nie orjentując się dobrze kto mu i co każe podpisywać, nagryzmolił swoje nazwisko i za chwilę już go nie było w chacie.

Zbliżyłem się do adjutanta, który pakował swoją skromną kancelarję. W izbie prócz nas nie było już nikogo.

— Dziękuję wam towarzyszu — mocno ściskając dłoń, żegnałem się serdecznie z adjutantem.

— Niema za co towarzyszu. Zdziczeli ludzie na wojnie, a tembardziej, gdy wódką się zaleją, nie wiedzą co czynią — usprawiedliwiał swoje towarzystwo zacny adjutant. — Zaczekajcie w tej izbie trochę nim oddział nie odejdzie, a później idźcie do Złynki, stamtąd już chodzi kolejka do Noworybkowa — dawał ostatnie rady, zapinając szynel.

Po chwili pozostaliśmy z moim towarzyszem podróży sami.

— Ładnie trafiliśmy. Jeszcze trochę czasu i być może bylibyśmy już na tamtym świecie — zwróciłem się do żołnierza.

— Niech ich cholera trzaśnie — takie wojsko. Kupa bandytów, a nie wojsko — i spokojny zazwyczaj żołnierz rzucił kilka siarczystych przekleństw.

Hałas przed chatą zaczął cichnąć i oddalać się.

— Możemy, zdaje się, już iść — powiedziałem do żołnierza.

Dusiłem się poprostu w tem zatęchłem powietrzu, przesiąkniętem tanim tytoniem i wyziewami alkoholu, w izbie, w której musiałem stoczyć gwałtowną i denerwującą walkę o swe życie, — walkę, w której jedynym orężem była przytomność umysłu i pewność siebie. Jeszcze byłem pod wrażeniem osiągniętego zwycięstwa, lecz czułem, że lada chwila nastąpi reakcja i naprężone do ostateczności nerwy odmówią posłuszeństwa. Chciałem jak najprędzej oddalić się od tej chaty i pijanej wsi.

Wyszliśmy. Oddział, otoczony przez gromadę pijanego chłopstwa, powoli oddalał się. Przed chatą spotkaliśmy samotną, starszą kobiecinę.

— Powiedzcie-no matko, kędy droga do Złynki.

— A tam — mili ludzie — i wskazała nam drogę, na szczęście idącą w przeciwległym kierunku od tego w jakim pomaszerował partyzancki oddział.

Nie chcieliśmy iść wiejską ulicą, by nie spotkać pijanych chłopów, skręciliśmy więc między opłotki i wyszliśmy w szczere pole. Niezadługo podążaliśmy już wskazaną nam drogą.

Jaką niewysłowioną radość sprawiała ta pustka, brak ludzi — takich złych i wstrętnych! Milczeliśmy obaj. Raz poraz całe ciało moje przebiegał dreszcz, jakgdybym bezwiednie chciał zrzucić z siebie wspomnienie przeżytych chwil grozy, gdy życie wisiało na włosku, bez żadnych po temu słusznych powodów.

Jak pies, gdy wrzucony przez złych chłopców do wo-

dy wyskoczy na brzeg, biegnie jak najdalej od nich i od wstrętnej mu wody, otrząsając z siebie nietylko pozostałe krople ale i wspomnienie nieoczekiwanej przykrej kąpieli — tak i my szliśmy szybkim krokiem, by jaknajprędzej oddalić się od wstrętnej pijanej wsi, gdzie nas niezasłużenie spotkało tyle krzywdy i upokorzeń.

Nagle zrobiło się zimno i zaczął padać drobny grad, który białą warstwą pokrył w jednej chwili pole, — jakgdyby samo niebo chciało zarzucić białą zasłonę na nasze smutne przeżycia.

MOSKWA

IV

Zawierucha wzmagała się tak gwałtownie, że postanowiliśmy szukać schronienia. Przechodziliśmy właśnie tuż obok dużych zabudowań, robiących wrażenie zupełnie opuszczonych. Weszliśmy do środka. Znaleźliśmy się w wielkiej hali gorzelni. Wionęło na nas wilgocią i pustką lokalu dawno nieczynnego i opuszczonego. Z przeciwnego jednak końca ogromnej hali dolatywały nas głuche, miarowe odgłosy uderzeń młota o metal. Zaintrygowani, skierowaliśmy się w tę stronę. Pod sufitem ujrzeliśmy dwu zarośniętych chłopów, ubranych w białe samodziałowe spodnie i koszule, obutych w łapcie, którzy siedząc okrakiem na rurach, coś tam majstrowali przy pomocy młotków i dłuta.

— A co wy tam ojcowie robicie? — zapytał zaintrygowany żołnierz.

— To gmina kazała nam odbijać miedziane części— więc odbijamy.

— Miedziane części? Po co?

— Jakto poco? Pieniądze za miedź dostaniemy.

— Co z tego, że pieniądze dostaniecie, kiedy niszczycie przez to całe urządzenie gorzelni.

— A co nam do tego. To nie nasze, to dziedzica z sąsiedniego majątku.

— Tembardziej jak nie wasze, nie powinniście tego robić. Toż to grabież.

— Boże nas uchowaj — jaka tam grabież. Gminie od dziedzica pieniądze się należą za dzierżawę, bo gorzelnia stoi na naszej gminnej ziemi. Tymczasem dziedzic nie płaci a gminie pieniądze są potrzebne, więc sprzedamy miedź i tyle weźmiemy ile się nam należy.

— A gdzie dziedzic — zapytałem ze swej strony, zdziwiony do najwyższego stopnia całą rozmową.

— Dziedzic? A niema go. Wyjechał — z pewnem zakłopotaniem odpowiedzieli włościanie.

— Wyjechał? — podejrzliwie spytał żołnierz. — Zapewne rozgrabiliście mu dwór, zabraliście ziemię, a jego zmusiliście do ucieczki.

— No pewnie, że tak. Dziś rewolucja, ziemia obszarników należy do narodu. Kiedyś cała ziemia do naszej gminy należała, tylko została nam zagrabiona. Dziś zpowrotem do nas wróciła — tłomaczył chłopek.

— Doskonale, lecz jeśli wypędziliście dziedzica i odebraliście mu całą ziemię, to z czego on ma płacić dzierżawę? — spytałem.

— Pewno, że tak — skrobiąc się w rozczochraną czuprynę zamamrotał chłop. — Ale gmina rok rocznie otrzymywała pieniądze, więc jakże to? — w tym roku ma nie otrzymać? Tak nie może być.

— To poco niszczycie gorzelnię; albo sami ją prowadźcie, albo wydzierżawcie komu innemu.

— To niemożliwe. Gorzelnia nie nasza, a dziedzica, więc jak można ją wydzierżawiać komu innemu. Tak robić nie wolno. My weźmiemy tylko tyle, ile nam się należy za dzierżawę.

— Oj ludzie, ludzie ciemni, nic nie rozumiecie — westchnął żołnierz.

— Tak bracie, my ludzie prości. Kazała nam gmina tę miedź obdzierać, to i obdzieramy. To nie nasza rzecz, taka była uchwała zebrania gminnego — odezwał się drugi chłop, który dotychczas przeważnie milczał.

Zawierucha ustała, powoli wypogadzało się.

— Bywajcie zdrowi dziadkowie.

— Bywajcie zdrowi, szczęśliwej podróży! — pożegnali nas chłopi, zabierając się do przerwanej przez rozmowę pracy.

— Tak wygląda rewolucja socjalna w tym kraju — rozmyślałem, idąc rozmokłą drogą.

Syt wrażeń, których tyle miałem w ciągu pierwszego dnia mego pobytu w socjalistycznem państwie, zaproponowałem memu towarzyszowi, abyśmy przenocowali w pierwszej lepszej chacie przy drodze, nie dochodząc do Złynki. Byłem porządnie zmęczony zarówno marszem jak i psychicznemi przeżyciami, pozatem ogarniał mnie strach na myśl o ponownem spotkaniu z reprezentantami władzy sowieckiej, których napewno znajdziemy w Złyn-

ce. Zacny towarzysz chętnie zaaprobował moją propozycję, przeżywając widocznie podobne do moich uczucia.

Wkrótce spotkaliśmy, sądząc z zabudowań, zamożny „futor", stojący samotnie opodal drogi. Oto co nam jaknajbardziej odpowiadało.

Postanowiliśmy wstąpić i prosić o nocleg. W chacie zastaliśmy liczne towarzystwo. Przyjęto nas dość życzliwie. Poprosiliśmy o jedzenie. Poczęstowano nas herbatą, chlebem, masłem i serem, — rozmowę na temat wynagrodzenia ucięto odmową. Gdy po pewnym czasie poprosiliśmy o nocleg — gospodyni domu, ze względu na wielką ilość mieszkańców w jej „futorze", zaproponowała nam udać się do sąsiedniego, którego samotna właścicielka — mąż jej był jeszcze na wojnie — bawiła właśnie u niej w gościnie. Ta ostatnia, młoda, przystojna brunetka, o wesołym i rezolutnym wyrazie twarzy, początkowo wahała się, dając do zrozumienia, że nie bardzo wypada samotnej kobiecie przyjmować do siebie na nocleg dwuch nieznanych mężczyzn.

Zaczęłem przymilać się do kobietki, żartując, że co innego, gdyby miała przenocować jednego z nas. Ponieważ jednak jest nas dwuch, może być spokojna, że wzajemnie będziemy siebie pilnować.

Posypały się żarty — jak to bywa zwykle na wsi — rubaszne, a jednocześnie dobroduszne. Ostatecznie, ulegając namowom gospodyni i naszym prośbom, zgodziła się dać nam nocleg u siebie.

Gawęda przeciągnęła się jeszcze, gdyż nie chciało nam się wychodzić z tego domu, gdzie panowała normalna atmosfera i gdzie potraktowano nas—nieznajomych— z ludzką życzliwością i zaufaniem, na jakie zasługiwaliśmy. Gdy go opuściliśmy, było już zupełnie ciemno. „Futor", do którego szliśmy, znajdował się w odległości pół kilometra, był więc czas na gawędę z jego miłą właścicielką.

Okazało się, że cała ta okolica za czasów Stołypina przeszła na samodzielne gospodarstwa, t. zn. „futory". Doskonale się wszystkim powodziło — zwłaszcza dobrze gospodarował właściciel folwarku, który przed chwilą opuściliśmy. Nie mogła tego powiedzieć nasza rozmówczyni o sobie, gdyż wkrótce po ślubie mąż poszedł na wojnę, a że trudno było prowadzić gospodarstwo samej — wydzierżawiła ziemię sąsiadom. Czekała obecnie na powrót męża, mimo, że od dłuższego czasu nie miała od niego żadnej wiadomości.

Wystarczyło przekroczyć próg jej chaty, by natychmiast wyczuć, że życie w tym domu zamarło. W dwuch dużych izbach nie było żywej duszy.

W pierwszej, która służyła jednocześnie za kuchnię, gospodyni urządziła nam posłanie na górze wielkiego chlebowego pieca. Raz poraz, przynosząc z sąsiedniego pokoju, który był jej sypialnią, ogromne poduszki, młoda kobieta rzucała mi spojrzenia.

W oczach jej zapalały się i gasły jakieś dziwnie we-

sołe i drażniące błyski — jakgdyby sygnały dalekiej latarni morskiej.

— Kim jesteś nieznany podróżniku — zdawały się pytać jej oczy. — Jesteś taki inny od tych setek naszych żołnierzy, dzień w dzień wędrujących tędy z frontu do domu. Przynosisz ze sobą tajemniczy, drażniący powiew wielkich miast, pełnych tylu dziwów, bogactw, ruchu i wesołych zabaw — których ja, prosta kobiecina, nigdy nie widziałam i zapewne już nie zobaczę. Jesteś taki inny w swym cywilnym miejskim stroju.

Pójdziesz jak przyszedłeś — i wkrótce wszyscy zapomną o tobie, jak dzieci zapominają o kamieniu rzuconym do stawu, nim jeszcze dopłyną do brzegu ostatnie fale, wywołane uderzeniem — i znowu powierzchnia wody będzie spokojna i senna. Któż będzie wiedział, że fale dotknęły gorącą pieszczotą mych ust i spragnionego ciała.

Noc, ciemna noc wszystko osłoni, a gdy minie, zabierze ze sobą jeszcze jedną grzeszną, ludzką tajemnicę, nie zdradzając jej nikomu. Przyjdzie dzień i zapomną ludzie o dziwnym wędrowcu i zostanie tylko codzienność wiejskiego życia.

Mówisz, że to grzech. Boże! — pewnie, że grzech. Za grzech trzeba zapłacić pokutą. Któż ci mówi, że nie zapłacę zań kornemi pokłonami, gorącą modlitwą, że podczas spowiedzi nie spłonę mocnym rumieńcem przed naszym starym, dobrym „batiuszką“, w drewnianej, ciemnej cerkiewce.

A jak wyznać ten grzech, gdy przyjdzie chwila powrotu i powitania? — pytasz wędrowcze. Poco wyznawać? — zdawały się odpowiadać wesołe, nęcące błyski kobiecych oczu. Poco? Nie grzeszny człowiek a Bóg jest sędzią naszym. Poco dawać nurka na dno jeziora i wyciągać kamienie. Poco ranić niemi innych i robić z nich narzędzie tortur. Niech spokojnie leżą aż do dnia sądnego. Nie bój się, Bóg sprawiedliwy wszystkie kamienie twych grzechów każe pozbierać i położyć na szalę twych wag życiowych. Czyż boisz się, że szala twych dobrych uczynków będzie tak pusta, że nie zrównoważy szali grzechów i złych czynów?

Takie głupie, śmieszne myśli tłukły się po mej głowie, gdym chciał zrozumieć znaczenie błysków oczu kobiecych.

. . . . . .

Posłanie dla nas było przygotowane — należało iść spać. Wzajemne życzenia dobrej nocy i drzwi sypialni zamknęły się za gospodynią.

Mój towarzysz podróży ułożył się od strony ściany i natychmiast zasnął. Ja zaś długo przewracałem się z boku na bok, nim zmęczenie, nerwowe przeżycia dnia i siła woli zmusiły mnie do zaśnięcia.

W nocy obudziłem się, zlany potem. Miałem uczucie, że smarzyłem się na ogromnej, rozpalonej patelni. Okazało się, że piec był rano napalony i ciepło, zatrzy-

mane przez pościel, nieznośnie nagrzało cegły. Nie mogłem wytrzymać dłużej. Postanowiłem uciec od pieca. Rozejrzałem się po izbie — nic prócz wąskiego, drewnianego stołu i kilku stołków drewnianych. Zdecydowałem się położyć na stole. Przy pomocy paru poduszek i palta zamieniłem go w prowizoryczne legowisko.

Rano obudziłem się pierwszy — szybko zlikwidowałem swoje łoże, obawiając się wywołać zgorszenie, że uczyniłem je sobie ze stołu, na którym jadano. Wkrótce zjawiła się gospodyni. W oczach jej, gdy spojrzały na mnie, tym razem płonął wyraźnie płomień nieukrywanej drwiącej pogardy.

— To tacy wy mieszkańcy dalekich miast — niedomyślne niezdary i ciamajdy, — zdawały się mówić jej oczy.

Żadna kobieta nie lubi, gdy mężczyzna nie reaguje na bezwiedne nawet sygnały źle tajonych jej myśli, lub udaje, że ich nie widzi czy nie rozumie. Każda kobieta uważa, że ona winna być tą, która ostatecznie decyduje czy ma dojść do grzechu, czy też ma być uniemożliwiona i ukarana napastliwość męska.

— Cóż robić? — z pewnem zakłopotaniem odpowiedziały me oczy — każda przysięga wierności jest świętą. Za żądaną i oczekiwaną wierność, trzeba płacić taką samą wiernością.

Gdybym wówczas wiedział to co wiem dzisiaj, gdy-

bym miał wtedy dar spojrzenia w przyszłość — być może inną byłaby rozmowa naszych ócz tamtego ranka.

. . . . . .

Na śniadanie poszliśmy do „futoru“, gdzie nas tak gościnnie przyjęto poprzedniego wieczoru. Cała rodzina siedziała przy stole. Gospodyni powitała nas życzliwie, zapraszając do stołu i częstując herbatą. Właściciel folwarku — ogromny, silny chłop, prawdziwy syn ziemi — siedział ponury. Obserwując go czułem, że cały dobrobyt „futoru“ powstał z energji, uporu i pracowitości tego człowieka.

Raz i drugi zagadnąłem go, wreszcie zmusiłem do rozmowy. Mówił urywanemi, krótkiemi zdaniami — a wszystkie one były przesiąknięte straszliwą nienawiścią do „bolszewików“. Instynktownie czuł, że przyszedł do władzy system, który dziś jeszcze zajęty likwidacją wielkiej własności, jutro weźmie się do nich, wiejskich bogaczy, popularnie przez biedotę wiejską zwanych „kułakami“. W tym „kułaku“, z którym rozmawiałem, burzył się przedewszystkiem instynkt posiadacza. Psychicznie bliższy był on właścicielom ziemskim, oburzając się gorąco na wyzucie ich z majątków, jako na gwałt, — niż masie włościańskiej, z której wyszedł i do której kulturalnie należał. Wówczas namacalnie przekonałem się, jak wielką była idea przewodnia reformy rolnej Stołypina.

Kto wie czy miałby miejsce „bolszewizm“ w Rosji,

gdyby reforma ta była rozpoczęta kilkadziesiąt lat wcześniej. Zresztą nienawiść właściciela „futoru“ do bolszewików miała źródło i w przykrościach, które go już spotkały. Władze sowieckie zabrały mu nietylko kilka koni roboczych, lecz i ulubioną klacz z młodym źrebakiem, co istotnie było zwykłą swawolą i złośliwością.

— Wszystko zabiorą — ponuro cedził przez zęby — bo to są zwykli bandyci i złodzieje. Każdego obrabują. Zobaczy pan — zabiorą panu nietylko plecak ale i palto. Co palto?... zedrą z pana i ubranie, które ma pan na sobie.

Czułem w tem wszystkiem przesadę rozgoryczonego chłopa, przerażonego zbliżającą się ruiną owoców wytężonej pracy całego życia, ale mimo to i mnie stopniowo ogarniało dziwne przygnębienie i niepokój. Przypomniałem sobie przeżycia dnia poprzedniego, które bynajmniej nie przeczyły pesymizmowi chłopa.

Czas jednak było ruszać. Dowiedzieliśmy się od gospodarza, że do miasteczka Złynki było zaledwie parę kilometrów, stamtąd zaś jeszcze parę kilometrów do stacji kolejowej, które jednak można już przebyć kolejką podjazdową, łączącą miasteczko ze stacją.

Pożegnaliśmy gościnną rodzinę i ruszyliśmy w drogę.

Szliśmy w milczeniu, powolnym krokiem, bezwiednie ociągając się ze zbliżeniem do celu naszej podróży. Czułem się markotnie. Przeżycia poprzedniego dnia, spotęgowane „krakaniem“ chłopa z „futoru“, wyraźnie od-

działywały deprymująco na mój stan psychiczny. Szedłem bo musiałem iść — zresztą nie miałem już drogi odwrotu. Lecz wiele byłbym dał, by tu nie być, by więcej nie stykać się z tym nowym dla mnie światem, gdzie życie ludzkie nie ma żadnego znaczenia.

Doszliśmy do Złynki, małego, prowincjonalnego miasteczka. Na wstępie już powitało nas ono przypomnieniem, że znajdujemy się w kraju, gdzie panuje nowy ustrój socjalny. Na murach niemal każdego domu przylepione były ogłoszenia miejscowego Rewkomu, nawołujące ludność do walki z kontrrewolucją, której głównemi podporami są byli oficerowie, popi i „kułaki". Miasteczko robiło wrażenie wymarłego, — najwidoczniej ludność wolała zbytnio nie wydalać się ze swych mieszkań. Z trudem więc dopytaliśmy się o dworzec kolejki podjazdowej. Trafiliśmy nań w parę minut po odejściu pociągu. Zirytowało nas to, bo rzadko co tak złości człowieka jak opóźnienie na pociąg — zwłaszcza o parę zaledwie minut.

Następna kolejka miała odejść dopiero popołudniu. Nie było sensu tak długo czekać — trzeba więc było maszerować dalej. Szliśmy te parę kilometrów milcząc — źli, zmęczeni, tembardziej, że słońce zaczynało grzać coraz silniej. Wreszcie dobrnęliśmy do dworca. Rozumiałem, że przyszedł moment decydujący, bo jeśli dostanę się do pociągu idącego w kierunku Moskwy, to należy

spodziewać się, że już bez przeszkód dobrnę do celu mej podróży. Zdecydowałem więc postępować tak, jakgdybym był prawdziwym komunistą.

Cały niewielki dworzec robił wrażenie obozowiska wojennego. Na peronie w budynku na każdym kroku stały karabiny maszynowe, leżały kupy wstęg z nabojami, stały w „kozłach" karabiny żołnierskie. Pełno było wojskowych, zarówno zwykłych żołnierzy jak i komisarzy w charakterystycznych skórzanych kurtkach, z rewolwerami u boku. Widocznie znajdował się tu jakiś sztab. Byłem jedynym „cywilem" w tem, tak licznem, towarzystwie wojskowem. Z największą jednak pewnością siebie zacząłem dopytywać się, gdzie znajduje się główny komisarz oddziału. Wskazano mi jeden z pokoi budynku stacyjnego. Z taką samą wciąż pewnością siebie wszedłem. W pokoju siedziało kilku komisarzy.

— Dzień dobry towarzysze — powiedziałem, ściskając pokolei ręce komisarzy i z całym spokojem siadłem na jednem z krzeseł, kładąc koło siebie plecak.

Komisarze z pewnem zdziwieniem obserwowali mnie. W kilku słowach wyjaśniłem cel mej podróży do Moskwy, pokazując mandat organizacji P. P. S. w Kijowie, oraz przepustkę komisarza „Pierwszego oddziału do walki z kontrrewolucją, spekulacją i sabotażem".

Nie wiem co poskutkowało: czy moja pewność siebie

i szczerość mych słów, czy też okazane dokumenty — dość, że przyjęto mnie z całą ufnością.

— Doskonale się składa towarzyszu — odezwał się jeden z komisarzy — zaraz idzie pociąg do Noworybkowa, dokąd muszę jechać. Możecie więc pojechać razem ze mną w komisarskim wagonie. Idziemy.

Ucieszony schwyciłem plecak, uścisnąłem ręce pozostającym komisarzom i ruszyłem w ślad za wychodzącym.

Na peronie stał już pociąg złożony z jednego wagonu drugiej klasy i kilku zwykłych „tiepłuszek", które były zapełnione przez tłum żołnierzy.

— Faddiej Wacławowicz! jestem tu — usłyszałem wołanie mego towarzysza podróży, który stał we drzwiach jednego z wagonów.

Ucieszyłem się bardzo, bo okrzyk ten dawał mi możność wycofania się z towarzystwa komisarza, gdyż nagły ten awans socjalny niebardzo mi trafiał do przekonania.

— To mój przygodny towarzysz podróży od samego Kijowa — zwróciłem się do komisarza. — Jeśli pozwolicie to już i nadal pojadę z nim.

— Jak chcecie towarzyszu — odezwał się nieco urażony komisarz, ściskając mi dłoń.

Za chwilę zniknął w komisarskim wagonie, ja zaś przy pomocy mego towarzysza wgramoliłem się do „tiepłuszki".

Pociąg jeszcze nie ruszał. W otwartych drzwiach komisarskiego wagonu, stanął drugi komisarz, opierając się niedbale o odrzwia i z wyraźną nonszalancją, świadczącą o poczuciu praw stanowiska, palił papierosa.

— Widzieliście tego franta — rozległy się głosy wśród żołnierzy w wagonie. Taki ważny, jakgdyby był wielkim księciem Mikołajem Mikołajewiczem, — już nie chcą zadawać się z żołnierską bracią. Patrzcie, zachciało im się wagonów pierwszej klasy. Nic, zrobimy i z nimi wkrótce porządek, jak zrobiliśmy ze swołoczą oficerską.

Komisarz udawał, że nie słyszy tych słów i nadal, w tej samej pozie, palił spokojnie papierosa. Po chwili jednak zniknął w głębi wagonu. Pociąg ruszył. Podróż nie trwała długo, gdyż do Noworybkowa było zaledwie dwadzieścia kilometrów. W Noworybkowie udałem się przedewszystkiem do kasy, gdzie kupiłem odrazu bilet III kl. do Moskwy. Poczciwy adjutant z oddziału partyzantów miał rację, gdyż kasjerka zażądała przepustki. Wystawione przez oddział partyzancki zaświadczenie całkowicie ją zadowoliło.

Mając w kieszeni bilet poczułem się raźniej. Odnalazłem sierżanta, który pilnował mego plecaka i poszliśmy do bufetu, gdzie w świetnych humorach zjedliśmy doskonały barszcz małorosyjski i po dużym kawale pieczeni. Pociąg do Brjańska szedł dopiero wieczorem, więc skracaliśmy sobie czas popijaniem herbaty. Czułem

się doskonale, gdyż na dworcu był duży ruch, a choć i teraz przeważały szare szynele, to jednak było sporo chłopów i mieszczan w charakterystycznych „poddiewkach", więc nikt już nie zwracał na mnie uwagi.

Po paru godzinach podstawiono pociąg, który i tym razem składał się ze zwykłych „tiepłuszek". Podróż do Brjańska trwała całą noc, z powodu przewlekłych postojów na każdej stacji. Na każdej bowiem stacji wpadali do wagonów z ręcznemi latarniami jacyś uzbrojeni młodzi ludzie, którzy skrupulatnie sprawdzali bilety, a procedura ta zajmowała wiele czasu. Widocznie rozpoczynano walkę z jedną z rewolucyjnych zdobyczy, a mianowicie z bezpłatną jazdą kolejami. Naturalnie, że ciągłe sprawdzanie biletów u rozespanego towarzystwa, wywoływało przekleństwa i awantury. Nic też dziwnego, że do Brjańska, oddalonego od Noworybkowa o 175 kilometrów, dotarliśmy dopiero w rannych godzinach.

Zjedliśmy śniadanie i poszliśmy szukać pociągu idącego do Moskwy. Po odnalezieniu go ujrzeliśmy niesamowity widok — pociąg był wypchany, jak mówią Rosjanie, „do odkazu", to znaczy do ostatnich granic. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem. Pociąg składał się z normalnych wagonów trzeciej klasy, ale tak wypełnionych, że na stopniach nawet siedziało po kilka osób. Przez otwarte okna wagonów widać było piekielną ciżbę panującą w ich wnętrzach. O dostaniu się do wagonu nie

było mowy — tembardziej, że towarzystwo, które je już zajęło, a zwłaszcza stopnie, groźnemi pomrukami i drwinami witało wszelkie nasze usiłowania znalezienia dla siebie miejsca. Sytuacja stawała się tragikomiczną.

W otwartem oknie jednego z wagonów stała młoda, hoża wieśniaczka, która z wesołym uśmiechem obserwowała nasze bezskuteczne zabiegi.

— A może w waszym wagonie znajdzie się miejsce, śliczna kobietko — zwróciłem się do wieśniaczki, robiąc do niej czułe oko.

— Możeby się znalazło — jeśli dostaniecie się do wagonu — odpowiedziała.

Spojrzałem na drzwi wagonu — oblepione były, jak gałęź przez młody rój pszczół.

— A gdyby tak przez okno? — rzuciłem pytanie, jeszcze słodsze robiąc oko do miłej wieśniaczki.

— Próbujcie — odpowiedziała śmiejąc się, ulegając widocznie wymowie mego spojrzenia.

Nie zdążyła dokończyć, gdy już rzuciłem jej mój plecak ze słowami — trzymajcie.

Wieśniaczka instynktownie schwyciła go i nieco odsunęła się od okna, gdyż w tej samej chwili podskoczyłem i schwyciłem za ramę okienną, zaś mój towarzysz podróży, w lot orjentując się w sytuacji, schwycił mnie za nogi i jednym rozmachem tak mocno podsadził, że błyskawicznie wjechałem głową na dół do wagonu.

Za chwilę ciągnęłem już mocno za ramiona mego towarzysza, nie zważając na protesty i przekleństwa pasażerów, którzy nie mieli nawet czasu czynnie przeszkodzić naszemu najściu, tak błyskawicznie się ono dokonało.

Spojrzeniem, aby nie ściągnąć na jej głowę obelg pasażerów, dziękowałem rezolutnej wieśniaczce za jej nieoczekiwaną a tak skuteczną pomoc.

Pociąg ruszył. Ze zdumieniem rozglądałem się po wagonie. Liczne towarzystwo, stłoczone jak śledzie w beczce, składało się z dziwnych typów. Szare szynele stanowiły tu wyraźną mniejszość. Byli to przeważnie chłopi, niewiasty i mieszczanie. Na półkach, pod ławkami, w przejściach, w korytarzu, wszędzie pełno było worków. Całe towarzystwo było wesołe, ruchliwe. Miało się wrażenie, że są związani wspólnymi interesami — wciąż padały nazwy różnych miejscowości, porównanie cen poszczególnych artykułów żywnościowych. Szybko się zorjentowałem, że to są słynni „mieszocznicy", odpowiadający naszym „szmuglerom" z czasów okupacji niemieckiej. Jak się potem dowiedziałem z rozmów, w Moskwie zaczęto odczuwać głód, podczas gdy na prowincji było wszystkiego poddostatkiem. Wobec czego opłacało się robić wyprawę po żywność.

Bolszewicy, w przeciwieństwie do władz niemieckich w Polsce, nie przeszkadzali w tem „dożywianiu" Moskwy. W ten sposób narodził się nowy sposób zarabiania

dla ludzi, którzy specjalnie poświęcili się temu zawodowi, otrzymawszy w gwarze ludowej nazwę „mieszoczników“ t. zn. „workarzy“.

Z zainteresowaniem obserwowałem to mrowisko ludzkie, tak różnolite z pochodzenia, lecz posiadające wspólne cechy obrotności, przedsiębiorczości i ruchliwości. Widoczne było, że w wagonie spędzali teraz większość swego czasu. Na gawędach i obserwowaniu tego ruchomego „Kercelaka“ szybko upływały mi godziny. Zbliżaliśmy się do Moskwy, bo przystanki stawały się coraz częstsze, coraz luźniej robiło się w wagonie.

Wreszcie Moskwa. Peron zapełnił się tłumem ludzkim. Prawie każdy dźwigał większy, lub mniejszy worek. Po chwili tłum zaczął się rozpływać i niknąć jak woda wylana na piasek.

Wyszliśmy z mym towarzyszem podróży na plac przed dworcem. Serdecznie uścisnąłem mu dłoń, dziękując szczerze za miłe towarzystwo, gdyż naprawdę był w czasie podróży dobrym kolegą.

Zostałem sam. Nagle usłyszałem nawoływania mego sierżanta.

— Co takiego? — pytam go nieco zdziwiony, widząc że z pośpiechem mnie dogania.

— Zapomniałem Wam powiedzieć Faddiej Wacławowicz — że jak będziecie u Lenina, to mogę w razie potrzeby zaświadczyć, że istotnie zabrano Wam rewolwer. Chcę więc Wam podać na wszelki wypadek mój adres.

— Jaki rewolwer? — pytam zdziwiony.

— No ten, który ten bandyta pod Złynką Wam zabrał. Przecież mówiliście, że jak będziecie rozmawiać z Leninem, to mu się poskarżycie.

— Ach prawda — roześmiałem się, przypominając sobie, jak udawałem wielkiego dygnitarza bolszewickiego. — Bóg z nim — ostatecznie sam mu ten rewolwer podarowałem, — co mówiąc raz jeszcze serdecznie pożegnałem zacnego sierżanta.

Niezbędnem uzupełnieniem niedokończonego II-go tomu wspomnień ś. p. Tadeusza Hołówki — w szczególnych warunkach, w jakich ukazuje się on w druku — wydaje się być zbiór — niektórych przynajmniej — odzewów, jakie wywołał w społeczeństwie tych wspomnień tom I-szy.

Przyczyny, dla których stał się on wydarzeniem wydawniczem, znajdzie Czytelnik w szerokiej rozpiętości głosów publicystów i krytyków, przytoczonych — gwoli ścisłości — in extenso.

Ci, którym przypadł w udziale bolesny zaszczyt zastąpienia Autora w opracowaniu do druku tego tomu Jego wspomnień, mają sobie tylko za obowiązek wyjaśnić, iż w doborze publikacyj, zawartych w niniejszym rozdziale, kierowali się jedynie względami na objektywną ich wartość. Nie byli oni bynajmniej postawieni wobec konieczności wyboru między dodatniemi i ujemnemi krytykami. Tych ostatnich wogóle nie było. „Przez dwa fronty" nie spotkało się, z żadnej strony, z zaprzeczeniami co do faktów lub ich naświetlenia. Przeciwnie, Autorowi oddano zewsząd pełną miarę uznania za objektywizm i szczerość Jego wspomnień.

W tem Jego największy triumf.

„Gazeta Polska“ z dn. 18 stycznia 1931 r. Nr. 18, w rubryce „Dział Literacki“, recenzja pióra Juliusza Kaden-Bandrowskiego p. t. „Przez dwa fronty“:

Książkę Tadeusza Hołówki p. t. „Przez Dwa Fronty“, książkę, zawierającą około trzystu stron drobnego druku, poświęconą bolesnym i zawiłym sprawom politycznym z najsmutniejszego okresu naszych walk o niepodległość — czyta się od deski do deski, jednym tchem — niby porywającą powieść. Dzieje się tak dlatego, ponieważ autorowi udało się, — w przeciwieństwie do tego rodzaju pamiętników i wspomnień politycznych, — połączyć plastyczną pamięć perypetyj politycznych z dokładną i żywą pamięcią wszystkich emotywnych przeżyć, wzruszeń i natchnień osobistych.

Hołówko łączy pasję polityka i patrjoty, z rozrzewnieniem, uniesieniem i tkliwością poety. Dzięki temu szczęśliwemu połączeniu, sprawy polityczne, poruszane w tym pamiętniku pulsują życiem indywidualności, osobiste zaś przeżycia indywidualności, nabierają powagi i grozy wielkich spraw ogólnych.

Chwila, którą opisuje Hołówko, jako uczestnik rozgrywających się wypadków, jest zaiste tragiczna i tak bolesna, jakbyśmy się znajdowali raczej u nowego końca i nowego upadku spraw Polski, nie zaś w ostatnich dniach przyszłego odrodzenia. Jest to okres od pierwszych dni stycznia 1918 roku aż do wiosny tegoż roku,

w którym autor, jako emisarjusz P. O. W. i P. P. S. z ramienia Rydza-Śmigłego i J. Moraczewskiego przekradł się na Ukrainę, by tu powiązać pracę patrjotów, działających w b. Kongresówce i w Małopolsce, z żywemi siłami polskiemi, znajdującemi się po drugiej stronie ówczesnego frontu.

W miarę podróży, zetknięcia się z ówczesnymi działaczami, w miarę rozmów, prac, spotkań i doświadczeń, roztacza Hołówko przed oczami czytelnika obraz pozbawiony wszelkiej animozji osobistej, nacechowany jednak wiernością najprawdziwszych przeżyć; obraz, zaiste tragiczny.

Po jednej stronie (b. Kongresówka i Małopolska) wojsko, obóz, czy też, — żeby dokładniej powiedzieć, — cała żywa energja narodu, pozbawiona swego wodza, którego Niemcy zamknęli w Magdeburgu.

Ów obóz żywej energji, wbrew całej ugodzie, zgrupowanej dokoła ówczesnej Rady Regencyjnej, ów obóz, pozbawiony wszelkich środków materjalnych działania, pozbawiony swych, z takim krwawym trudem zbudowanych, ram żywy jednak i twórczy myślą swego uwięzionego wodza, — działa i walczy dalej. Skończywszy walkę z Rosją, która pod naciskiem rewolucji straciła wszelką moc i władzę, mając przeciw sobie potężny wówczas blok państw centralnych, obóz ów pragnie wykorzystać inercję Rosji i tam przerzucić teraz całą swą siłę, by w połączeniu z tamtejszemi organizacjami polskiego wojska, rozprawić się ostatecznie z państwami centralnemi.

Koncepcja wspaniała, pełna najistotniejszej logiki czynu, uczuciowo i logicznie wynikająca niezbicie z bohaterskiej polityki Legjonów Piłsudskiego.

Ludzie tego obozu, jak Hołówko, Miedziński, jak Lis-Kula, Schaetzel, jak Barta, z żywiołową energją, mimo, iż odebrano im wodza, mimo, iż utracili wszystkie formalne zdobycze organizacyjne, mimo, że pozbawieni są wszystkich koniecznych środków technicznych, przystępują do spełnienia tych wielkich zadań.

A oto drugie skrzydło ówczesnej rzeczywistości na Ukrainie i w Rosji, — czyli siły polskie po tamtej stronie frontu. Jest tam wszystkiego wbród: I ludzi i środków technicznych i środków łączności, — wszystkiego poddostatkiem. Ziemia usiana bronią uciekającej armji rosyjskiej; całe pola porzuconych bateryj i jaszczów; długie okopy warowne, przez nikogo już niestrzeżone obozy, pełne bezpańskich karabinów maszynowych.

Co więcej! Środowisko, wśród którego leżą te skarby wojenne, środowisko rewolucyjno-rosyjskie, pozbawione wszelkiej woli, myśli i inicjatywy.

W środowisku tem mogą siły polskie (z dawnego rosyjskiego wojska) gromadzić się, łączyć, organizować, jak się im podoba. Ze względu na sprzeczne prądy co do dalszego prowadzenia wojny przez bolszewików z Niemcami, mogłyby nawet owe siły polskie znaleźć w środowisku rewolucyjno-rosyjskiem znaczną dla siebie pomoc.

Dlaczegóż więc nie okazują dostatecznej prężności i energji? Dlaczego manewrują tam i zpowrotem bez istotnego powodu i sensu? Dlaczegóż pojawienie się II-giej karpackiej brygady Legjonów budzi tam tak wielkie nadzieje? Dlaczegóż jednak i te nadzieje rozpływają się bez żadnego istotnego skutku na olbrzymich obszarach bezwoli i niedołęstwa?!

Hołówko, — jak żaden może z uczestników tej ża-

łosnej tragedji, — ukazuje, dlaczego zmarnowaliśmy tam tak potężne możliwości wielkiej sprawy.

Oto po jednej stronie nie było już wodza, nie było żadnych materjalnych sił, lecz była myśl państwowa, był potężny duch walki. Ta strona, — obozu legjonowego, — wciąż jeszcze była twórcza i zdolna do czynu.

Atoli druga strona, mimo, iż władająca wszystkiemi siłami materjalnemi, — nie miała wodza, nie miała w sobie żadnej myśli państwowo-twórczej. Brakowało tu duszy, bez której korpusy, pułki, baterje i szwadrony, bez której wojsko, poszło po linji najmniejszego oporu: Zamiast stać się siłą przyszłego państwa, stało się strażą ginących folwarków.

Obraz tego zmarnowania wielkiej siły, kreślony przez Hołówkę, pełen jest prostej a jednak wspaniałej, groźnej, jakże straszliwej plastyki! Gdy czytamy ustępy, poświęcone pobytowi autora w Antoninach, w tym olbrzymim sławnym pałacu, zamienionym na kwaterę, a zarazem i na Kapuę korpusu, gdy widzimy nieomal naocznie, jak ówczesny żołnierz polski staje się pańskim karbowym, gajowym i strzelcem, — przychodzą nam na myśl najsmutniejsze wspomnienia z epoki ostatniego króla polskiego i rozbiorów Ojczyzny.

Gdy czytamy Gehennę tragicznej błąkaniny emisarjuszów, jak Hołówko i Barta między korpusami polskimi, między ówczesnymi generałami, którzy wszystko mając w ręku, zmarnowali wszystko; gdy czytamy tragiczny opis chwili, w której emisarjusze P. O. W. ofiarowali najlepsze swe siły ówczesnemu dowódcy II-giej Brygady J. Hallerowi, a on je odrzucił ze względu na własną próż-

ność i ambicję, — jakże mamy nie myśleć o żałosnych i małodusznych wodzach 1831-go roku?!

Dlaczegóż więc mimo tak smutne fakty i prawdy, zawarte w tej książce, czytamy ją, nie upadając na duchu? Oto dlatego, że, jak w rzadko której z innych tego rodzaju prac, — udało się tu autorowi wydobyć i okazać tę właśnie energję ludzi legjonowych, którzy mimo tak straszliwych rozczarowań, przeszli nad niemi do porządku, pracując nadal w obranym przez siebie kierunku.

Z tego względu książka Hołówki jest nader znamienna: Pokazuje ona w świetnem naocznem zestawieniu dwa typy ludzi i wynikające z tych typów kategorje działania. Typ dawny, ludzi byłej Polski, którzy w obronie swego folwarku potrafią zaprzepaścić sprawę armji narodowej i cały stosunek do sąsiedzkiej Ukrainy i sprawę własnej Ojczyzny.

Oraz typ nowy, — który umie z młodzieńczą siłą wszystko inne drugorzędne podporządkować naczelnej idei działania.

Hołówko, jako pisarz polityczny, tem się odróżnia od innych, czy też nawet góruje nad innymi tego typu pisarzami, że dla względów tematu politycznego nie krępuje w sobie i nie ogranicza porywu lirycznego.

Nie wstydzi się przerwać wywodów i oddać się nagle całkowicie opisowi wrażeń doznanych czy to na widok gór, czy z powodu wspomnień o Sienkiewiczu, czy wspomnień osobistych, czy nawet refleksyj na temat przemijania, czasu, przestrzeni, znikomości, wieczności i t. p. Ta właśnie swoboda autora, głęboka szczerość wewnętrzna, nieobliczona na żadne efekty, ani literackie, ani społecz-

ne, sprawia, że książka Hołówki posiada głębszą wartość obyczajową.

Książka „Przez Dwa Fronty“ — to cenny piękny dokument minionych czasów, dokument, w którym prócz spraw ważnych i dziejowych zarysowane też zostało w linjach bezpośrednich, a pełnych najczystszego wdzięku oblicze działacza, konspiratora i emisarjusza legjonowo-peowiackich dziejów. Oblicze, które w legendzie przyćmił blask frontowych żołnierzy, nie ustępujące jednak swą skupioną pięknością zuchwałemu urokowi legjonisty.

Jul. Kaden-Bandrowski

„Kurjer Wileński“, Nr. 11 z dn. 11 stycznia, „Nowa Ziemia Lubelska“ — Nr. 12 z dn. 12 stycznia oraz krakowski „Ilustrowany Kurjer Codzienny“ — Nr. 21 z dn. 21 stycznia — poświęcony dziełu ś. p. Tadeusza Hołówki feljeton pióra Wojciecha Stpiczyńskiego, p. t. „Okrwawiony strzęp historji“:

Cóż to był za potężny wstrząs, co za dramat niepojęty, ta Wielka Wojna narodów, — jakże straszliwie głęboko wryła się ona w odczucia i wyobraźnię ludzką, że po latach tylu, ciągle, po dzień dzisiejszy, nią żyjemy, w jej atmosferze przebywamy, pod jej sugestją pozostajemy, — że się wyrwać z pod tragicznego czarodziejstwa jej uroku nie możemy.

Jeszcze w roku ubiegłym, w dwanaście lat po zawarciu pokoju, rekord popularności w światowej literaturze pięknej pobiła prosta, skromna książka nieznanego dotychczas nikomu pisarza niemieckiego, malująca stylem pamiętnikarskim, wolnym od wszelkiej literackości, przeżycia żołnierzy w okopach zachodniego frontu.

Wokół filmów, poświęconych wojnie, chwytających fragmenty tego dramatu na gorącym uczynku, rozpalają się płomienie najgorętszych, najżywszych uczuć miljonów widzów, rozpętują się walki. Kapitalista, któremu udało się uwiecznić na taśmie złudzenie prawdy potworności

wojennej, zbiera miljony i wdzięczność miljonów spektatorów.

Ludzkość jeszcze nie opłakała największego dramatu naszej doby. Jeszcze jej wezbrane bólem i przerażeniem serce — nie znalazło ukojenia. Jak nieszczęsna matka na grób dziecka — powraca ona ciągle do wspomnień i daje się porwać niepohamowanym, zaiste wspaniałym w potworności, wzruszeniom.

Cóż to był za wstrząs, co za dramat niepojęty, ta Wielka Wojna narodów!

Jego refleksy pozostaną nazawsze w złudzie życia filmowej projekcji na kwadracie srebrnego ekranu, w głębokim patosie literatury pięknej, w surowych kształtach żałobnych pomników — lecz najtrwalej uwiecznia je patos samego dramatu, zawarty w objektywnej relacji z przeżyć jego uczestników i aktorów, w literaturze pamiętnikarskiej.

Jest to już dzisiaj literatura tak potężna i mnoży się tak szybko a nieustannie w niekończące się szeregi tysięcy tomów, że wymaga pewnego rozklasyfikowania.

Narazie wystarczy podkreślić najbardziej widoczny podział jej na dwie grupy. Do pierwszej należą pamiętniki polityków, którzy w mniejszym lub większym stopniu kierowali losami swych państw czy narodów w okresie wojny. Do drugiej relacje z przeżyć własnych i zjawisk obserwowanych własnemi oczyma — żołnierzy, w mundurach i cywilnych kurtkach.

Pierwsza grupa przeważnie nie może apelować do zaufania publiczności. Są to bowiem najczęściej obrony wobec dnia dzisiejszego i historji mężów stanu i polityków, którzy — z najzupełniej zrozumiałych i nawet

usprawiedliwionych pobudek — przemilczają własne błędy, lub przynajmniej podejmują ich obronę, zmieniając mimowolnie kształt zdarzeń, oczywiście na swoją korzyść. Cała ta dziedzina pamiętnikarskiej literatury wymaga surowej weryfikacji przez historyków, dla których jest niewątpliwie cennym materjałem studjów.

Grupa druga, — relacyj żołnierzy i uczestników dramatu, w takich lub innych jego fragmentach i przejawach, — jest dokumentem epoki, tem cenniejszym, im bardziej pozbawionym subjektywizmu piszącego i pretensjonalności pod względem formy.

Ta druga grupa polskiego działu wojennej literatury pamiętnikarskiej, wzbogacona została w ostatnich dniach nader cennym przybytkiem tomu wspomnień Tadeusza Hołówki, — nie tego, jakim znamy go dzisiaj: poważnego i statecznego szefa dwustukilkudziesięciu osobowego klubu sejmowego, czy wczoraj jeszcze: kierownika polityki wschodniej Rzeczypospolitej i jej dyplomatycznego przedstawiciela na konferencjach międzynarodowych, — lecz Hołówki z przed lat trzynastu, zaledwie dorosłego — jako omal my wszyscy — przedwcześnie w klimacie ideowej pracy dojrzałego młodzieńca, żołnierza — jak my wszyscy wówczas — tułacza, walczącego słowem, co było czynem, i czynem, co był zawsze ofiarą, za przewodem Komendanta o Wolność, o narodu swego Niepodległość.

Leży oto przede mną ten tom, jeszcze ciepły od pośpiesznego uścisku maszyny drukarskiej. Patrzę nań okiem rozpalonem jego porywającą treścią — serce bije mi mocno od nawału wzruszeń, obudzonych w niem przez te kartki, tak napozór zwykłe, a tak pełne treści, i widzę przed sobą nie tom papieru, drukiem pokryty i nie pra-

cującego nad ułożeniem go autora — lecz całe, w tym tomie zawarte, widzę realne życie.

Widzę czupurnego, pełnego niedającego się ukryć ognia wewnętrznego, porywczego Hołówkę, prześlizgującego się w styczniowy dzień 1918-go roku przez front bojowy na Ukrainę i trawionego gorączką wizji, że oto już tworzy wielką armję polską, już ją widzi zadającą straszliwy cios armjom państw centralnych i uwalniającą Polskę od ich okupacji, wywieszającą sztandar wolności na wieży Zamku królewskiego w Warszawie wśród entuzjazmu i pojednania całego narodu, i blask szczęścia widzi w oczach Komendanta...

Widzę go ja, jakbym istotę jego nawskroś spojrzeniem przenikał, jak mu ta wizja przeogromna barwi różowo całe otoczenie, — ziemię ukraińską żyzną i cierpliwą, — i rozsiadających się na jej, wczoraj bogatych, zagonach, panią nędzę i szatana zniszczenia, — i ludzi albo zalęknionych, albo rozbestwionych, cienie i potworne karykatury ludzi, — jak nieczuły na niebezpieczeństwa i przykrości i niewygody rwie naprzód, tropiąc ślady wojska polskiego, któremu niesie wezwanie udręczonej Ojczyzny...

Widzę go na pierwszych zebraniach w Płoskirowie — gorączkę z serca płynących słów i pierwszy powiew chłodu, pierwszy sygnał ostrzegawczy zbliżającego się rozczarowania. Lecz on go nie widzi. W ten płonący stos uczucia pada jak iskra wieść o przejściu na stronę rosyjską II Brygady. Jest Haller, są Legjony, jest wojsko — cud się iści.

Więc go widzę kołaczącego u komisarzy bolszewickich o prawa gościny dla Brygady — kto wie czy nie on

właśnie uratował ją przed rozbrojeniem i rozwiązaniem, a może rozgromem. Gna go wizja wojska polskiego, wielkiej armji narodowej. O posunięciach Dowbora-Muśnickiego dochodzą go najniepomyślniejsze wieści. Jedzie zatem do szefa II korpusu, gen. Michaelisa. Szukał wodza, znalazł masło. Styka się z oficerami korpusu — nie znajduje w nich ducha polskiego. Główne ich zadanie, — obrona polskich dworów przed chłopami, spycha całe wojsko na grunt narodowych i klasowych walk, — sprawy Ojczyzny toną w tym konflikcie.

Lecz Hołówko nie traci nadziei. Uparcie w swojem cywilnem palcie — prowokującem tłuszczę zdemoralizowanego żołnierstwa i chłopstwa symbolem burżujstwa — goni do Sorok, do III korpusu i staje przed gen. Stankiewiczem. Cóż za parodja wodza? Stary manekin, figurant bez znaczenia i bez woli. I wreszcie rozczarowanie ostatnie: Haller. Mały, niemądry człowiek, pełen naiwnej pychy i animozji — stracona pozycja.

Gdzie wódz? Gdzie mąż ducha wspaniałego i myśli szlachetnej, coby sztandar narodowej sprawy w tej zawierusze straszliwej podźwignął i światu widocznym uczynił? Wódz w dalekim zamknięty Magdeburgu, a niemasz tu, ktoby go zastąpił.

Tymczasem układ polityczny sceny ukraińskiej zmienia się radykalnie, zalewa ją okupacyjna armja niemiecko-austrjacka, — żegnajcie piękne nadzieje. Polski żołnierz-tułacz raz jeszcze pójdzie szukać szczęścia.

Więc widzę jeszcze Hołówkę, jak już troską przygaszony, choć wciąż wiary pełen, robi w Kijowie wraz z Miedzińskim, Lisem-Kulą i Schaetzlem rachunek szans i możliwości, z którego wyrasta nowy szlak wędrówki —

na Moskwę, wiodący przez nowy front bojowy: ukraińsko-rosyjski.

W tem miejscu swych pamiętników stawia Hołówko kropkę, a ja spostrzegam się, żem właściwie, choć oczywiście bardzo pobieżnie, opowiedział w kilku zdaniach ich treść. Więc pozostaje mi tylko dodać, że pisane są językiem barwnym, pełnym temperamentu, chwilami porywającym, i że ich wdziękiem największym jest szczerość i siła uczucia, sprawiająca, iż „Przez dwa fronty“ czyta się jak piękny epos o okrwawionym strzępie historji wielkich dni dla naszego narodu i dla ludzkości całej.

Pisząc o swej wędrówce po Rosji, Hołówko porównuje się z liściem wielkiego dębu, zaniesionym przez wichry na wschód. Cóż za dziwy działy się wówczas z liśćmi dębu polskiego. Jego zaniosły wichry na wschód, do Kijowa i Moskwy. A ja, w tym samym czasie należałem do garści liści, zamiecionych przez burzę na zachód, gdzieś w zapadły kąt Brandeburgji, do ponurego Havelbergu, za wysokie parkany i ostre druty karnego obozu jeńców. On z Miedzińskim, Lisem-Kulą, Schaetzlem i wielu innymi tworzyli P. O. W. i wojsko polskie w Rosji, a my słuchaliśmy niecierpliwie pouczeń regulaminu więziennego: „Każdy żołnierz niemiecki jest twoim przełożonym“... Oni nam szykowali odsiecz, a myśmy o tem nie wiedzieli.

Jakże dziwnie toczyło się koło losów naszych. Zaiste, trzeba wielu pamiętników, Hołówki wspomnieniom podobnych, by kręte drogi tego koła odzyskały wierny rysunek i były widoczne przyszłym pokoleniom.

Wojciech Stpiczyński

„Express Poranny" Nr 18 z dnia 18 stycznia feljeton pióra Wincentego Rzymowskiego p. t. „Tadeusz Hołówko w swej ostatniej książce":

Jeżeli pierwsza zaleta książki polega na tem, aby przykuć do siebie czytelnika, aby stać się interesującą lekturą, to o nowej książce Hołówki trzeba powiedzieć, że jest lekturą wspaniałą.

Jest książką, która bierze nas w niewolę od pierwszej strony i każe chłonąć kartę po karcie aż do końca.

By stwierdzić miarę pisarskiego sukcesu autora, wystarcza jeden uwydatnić rys.

Opisywane przezeń wypadki historyczne — wypadki, których areną była Ukraina w ostatnim roku wojny światowej — są nam zgrubsza znane zarówno w swym zasadniczym przebiegu jak w swych wynikach ostatecznych.

Wiemy, że Legjony, które przestały istnieć w kraju, nie zmartwychwstały na emigracji w Rosji; że brygada Hallera uległa rozbiciu i rozproszeniu; że pan Michaelis zawiódł tych, którzy jego generalskiemu słowu uwierzyli.

Wiemy to. Mamy to wszystko w głowie. Pamiętamy.

A jednak wszystko to pod piórem Hołówki zpowrotem staje się nowością i niespodzianką; nanowo budzi naprzemian obawę, gniew i nadzieję.

Skostniałe fakty stają się znowu płynną i ognistą masą możliwości, podatnych kształtującej woli człowieka.

Tak głęboka i krwista dynamika czynu tętni w sercu, które te fakty przeżyło; myśl tak bez reszty zespoliła się z przeżyciem; tak żywy prąd wzruszenia płynie przez te karty „wspomnień", że, czytając je ulegamy złudzie, iż wszystko, co się stało, odstaje się nanowo. Jeszcze raz nad sceną krwawego teatru podnosi się zasłona dziejów. Jeszcze raz wstaną wszystkie nasze niespełnione dumy.

Jeszcze raz staniemy „u brzegu olbrzymiego, tajemniczego i rozhukanego morza rosyjskiej rewolucji".

— Jeszcze chwila — zaczyna swą opowieść Hołówko — a pierwsza fala zagarnie mnie i wchłonie. Czułem dziwny lęk, lecz lęk ten zawierał w sobie jednocześnie radość oczekiwania na coś wielkiego i wspaniałego w swej grozie i sile. Podobne uczucie przeżywa człowiek w górach, gdy niebo zaciąga się ciemnemi chmurami"...

Oto, być może, klucz do tajemniczego uroku tej książki.

Narodziła się ona z żywiołu wszechświatowej burzy, rozrosła się w błyskawicach i w ich groźnym blasku odsłoniła miarę człowieka, który nie wyzywa niebezpieczeństw i nie igra z niemi lekkomyślnie; ale gdy je na drodze swoich celów spotka, czoło im stawia nieugięte i w walkę kładzie całą swą radosną duszę.

*

Gdyśmy czytali w latach młodocianych „Trylogję" Sienkiewicza, któż spodziewał się, że w naszem pokoleniu znajdą się ludzie, którzy już nie w wyobraźni, ale w rzeczywistości, na jawie przeżywać będą heroiczne przygody Skrzetuskich i Wołodyjowskich?

Samo przypuszczenie takie byłoby fantazją bujniejszą ponad wszystko, co stworzyła muza Sienkiewicza.

A tymczasem?

Otwieramy „wspomnienia“ naszego „emisarjusza politycznego“ z roku 1918 i już po kilku wstępnych epizodach, ogniem i mieczem znaczących pola Ukrainy, znajdujemy się w pełni sienkiewiczowskiego eposu.

Przez jary naddniestrzańskie, starym szlakiem do Jampola zdąża, jak ongi w czasach Bohuna, gromadka zbrojnych jeźdźców polskich.

— To samo, jak i wówczas, wzburzone pospólstwo — przypomina autor — ta sama żądna krwi i rabunków „czerń“ — jak mawiał Zagłoba — jak wówczas tak i dziś paląca i niszcząca mienie nienawistnych „Panów Lachów“.

Trzej jeźdźcy, mijając wsie ukraińskie, widzą ponure, złowrogie twarze chłopów; obserwują ich pochmurne, nieufne spojrzenia i, naprzekór oczywistości, nie mogą oprzeć się wrażeniu, że są to te same spojrzenia, które niegdyś spoczywały na Wołodyjowskim i jego towarzyszach.

Hołówko jakgdyby lubuje się w uwydatnianiu podobieństw i ogniw między dawnemi a nowemi laty.

Przejrzysty a pełen prostoty język literacki kładzie w swe malowidła, aby z oparów Ukrainy wydobyć jej dramat wiekowy i pochwycić poprzez wieki idący wspólny wątek losu.

Baczny i uważny czytelnik nie da się wszakże zwieść tym pokusom narratora i z pod mieniącej gry barwnych, malowniczych zdarzeń odrazu odczytuje właściwą myśl działacza i polityka.

Spostrzega, że podobieństwa i analogje zgromadzone są po to, aby na ich tle tem ostrzej odcięły się różnice i kontrasty.

Gdy autor wspomina ,jak w cichą noc wiosenną, wraz z dwoma towarzyszami, trafił przypadkiem na futor polski, zgubiony w dolinie Bohu; gdy przesuwa w pamięci obrazy, malujące ciepły, miły dom gościnny, rozbawiony muzyką i tańcem; dom, który jak meteor oświetlił mrok nocy, by za chwilę zgasnąć w jej odmętach: któż nie rozpozna w tej scenie beztroskiej brawury dawnych kresowców, którzy w przededniu śmiertelnej rozprawy z nieprzyjacielem tonęli w romantyce czułych i śmiesznych „komplementów", składanych u stóp „ślicznej panny"?

Ale niech minie meteor ułudy śród cichej nocy wiosennej, a w białem świetle dnia wystąpi cały „długi wieków przedział".

Przedział, odgraniczający nas nie tylko od Polski panów Wołodyjowskich i Zagłobów, ale i od tej wizji sztucznej, w jakiej chciał Polskę zabalsamować Sienkiewicz.

Widząc rozboje, pożary i pogorzeliska, w których ginęły odwieczne polskie dwory pod ciosami zbuntowanej tłuszczy ukraińskiej, Hołówko zdaje sobie sprawę, jak niepowetowaną stratą dla kultury były te znikające jedna po drugiej wyspy wiekowego dorobku i bogactwa z ich zbiorami sztuki, z ich racjonalną gospodarką rolną i przemysłową.

Nie żywi żadnych co do tego złudzeń, że tam, gdzie wyspy te jaśniały swą wielkopańską pychą zbytku i wykwintu, roztoczy się sycone nienawiścią społeczno-narodową władztwo barbarzyństwa i ciemnoty.

Na widok tak strasznej ruiny smutek zatapia szpony w sercu wysłannika Polskiej Organizacji Wojskowej. Ale ponad smutek i beznadziejność wyrasta myśl polityczna, która nie poprzestaje na lamencie skargi i przedewszystkiem szuka źródeł katastrofy.

— Tak nam dziś płaci naród ukraiński — pisze z całą odwagą Hołówko — za to, że trzysta lat temu wzgardziliśmy nim, odepchnęliśmy go od Rzeczypospolitej, nie daliśmy mu miejsca wśród wolnych z wolnymi, równych z równymi. Poskąpiliśmy praw i przywilejów szlacheckich dla wolnych, rycerskich kozaków. Zakuliśmy ten bratni naród w kajdany poddaństwa wyzysku i ciemnoty. Za grzechy i samolubstwo przodków, za małość i ślepotę sejmów XVII stulecia krwawą daninę płacili teraz potomkowie".

Już ta krótka, zwięzła diagnoza wykazuje obszar doświadczeń, przemyśleń i zdobyczy politycznych, jakie legły między bajką Sienkiewicza a czynem Hołówki.

Tam — sen, złotym mirażem usiłujący krzepić serca zwątpiałe. Tu, w książce Hołówki, nieustępliwy trud bojowy, w twardym kruszcu rzeczywistości wykuwający olbrzymie dzieło wyzwolenia.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego wysłannik I Brygady Komendanta Piłsudskiego tak silnie podkreślił fatum, wiszące nad magnackiemi dworami na Rusi.

To samo fatum, o które ongi potknęła się państwowość Rzeczypospolitej, teraz miało pokrzyżować w samym zarodzie wielką ideę armji polskiej na emigracji wschodniej.

Wielka własność, zagrożona likwidacją, usiłowała

przez czas pewien podtrzymywać zbrojnie stan swego posiadania przy pomocy żołnierzy polskich.

Polski mundur wojskowy zepchnięto z poziomu walki o Polskę na poziom regimentów, strzegących fortuny jaśniepańskiej.

Smutna tradycja prywatnych wojsk, służących „królewiętom" kresowym, odżyła w całej swej samobójczej okazałości.

„Królewięta" nie ocaliły swego mienia. Ale wespół z ich prywatną własnością, pod gruzami ich pałaców, zawaliła się ówczesna idea armji polskiej.

Wincenty Rzymowski

„Polska Zbrojna“ z dnia 22 i 23 lutego 1931, w dwuch odcinkach artykuł sprawozdawczy pióra Wandy Pełczyńskiej, p. t. „Przez dwa fronty“:

Pokolenie, które rzuciło hasło strajku szkolnego i bojkotu szkoły rosyjskiej, a które potem, wychowane w atmosferze moralnej związków i drużyn strzeleckich, przeszło przez służbę w Legjonach i w P. O. W. — wniosło w życie swego narodu zupełnie nowe i świeże wartości.

Gdyby kto chciał znaleźć zwięzłe określenie tego, co najdobitniej charakteryzuje to właśnie pokolenie — musiałby stwierdzić, że istotną jego cechą było zajęcie czynnej postawy wobec spraw życia własnego narodu. To też młodzież owa wniosła do Polski przedwojennej, oswojonej z rozbiorami i pogodzonej już z ogromem klęski, nowe tchnienie romantyzmu. Nie był to oczywista romantyzm z lat 30 i 40 ubiegłego stulecia.

Ludzie z doby mickiewiczowskiej, oderwani od realnego życia kraju, wbrew otaczającej ich rzeczywistości mieszczańskiej Europy, z własnego ducha wydobyć chcieli wiarę w to, że byt narodu nie został utracony i z tragiczną wielkością budowali Polskę w jednym, dostępnym dla siebie świecie ideologicznym.

Młodzież epoki przedwojennej wniosła w życie zamierającego w bierności i apatji społeczeństwa mocne pragnienie epickiej atmosfery bohaterstwa. Przeciwstawiła

omdlewającej bezsile narodu, który począł tracić zdolność do odczuwania ciosów, wymierzanych mu przez przemoc, śmiałość w budowaniu programów, wytrwałość w życiowej walce, zapamiętałą energję i umiejętność stawiania na swojem.

Stąd ta przepaść, najgłębsza chyba ze wszystkich przepaści, które kiedykolwiek istniały między pokoleniem starem i młodem, stąd ten rozdźwięk między tem, co było w narodzie elementem słabości, zahukania i ugody, a tą zawziętą wolą życia i zwycięstwa.

Czynna postawa wobec wypadków, rozgrywających się na ziemiach polskich w epoce straszliwego kataklizmu wielkiej wojny — jest cechą ludzi z obozu Józefa Piłsudskiego.

Jeżeli nie uświadomimy sobie zupełnie jasno tej właśnie cechy, którą charakterom naszego pokolenia narzucił, czy słuszniej byłoby powiedzieć, którą ukształtował w swym obozie Józef Piłsudski, to nie będziemy w stanie zrozumieć wielu spraw, które w tej epoce w społeczeństwie naszem się rozgrywały i nie będziemy w stanie zgłębić tych wewnętrznych kolizyj, które przeżywało społeczeństwo nasze w epoce walki o wolność i w pierwszych latach swego niepodległego istnienia. Ta właśnie prawda narzuca się z wielką siłą i wyrazistością po przeczytaniu już pierwszych kart książki Tadeusza Hołówki pod tytułem „Przez dwa fronty".

Autor we wstępie podkreśla z całkowitą skromnością, że książka jego jest jedynie tylko „dokumentem chwili, pisanym przez człowieka, który starał się możliwie jak najbardziej dokładnie i wiernie odtworzyć ówczesną sytuację". Pomimo tych zastrzeżeń autora — książka ta

jest czemś więcej, niż tylko dokumentem pamiętnikarskim.

Na kartach jej rysuje się w sposób mocny i wyraźny konflikt ludzi, wychowanych w twardej szkole obywatelskiej Józefa Piłsudskiego z tymi, którym kataklizm dziejowy narzuca działanie, zmusza do czynu wbrew ich woli, wbrew ich pragnieniom, wbrew ich dotychczasowej metodzie biernego akceptowania decyzji przychodzących z zewnątrz. Stąd właśnie w tym pamiętniku, snującym prostą kronikarską opowieść, natrafia czytelnik zupełnie niespodzianie na mocny węzeł dramatyczny. W miarę czytania tej książki awanturnicze przygody autora schodzą niejako na plan drugi, usuwają się w cień, stają się jakby ilustracją tej niepokojącej, tragicznej niemal walki, która toczy się pomiędzy garścią ludzi czynu, biorących na siebie świadomą odpowiedzialność za swoje słowa i decyzje, a obozem ludzi oplątanych siecią własnej bezsiły i własnych małych ambicyj.

W znacznej mierze poza wolą autora dzieje się tak, że jego wspomnienia, będące niejako żołnierskim raportem z odbytych prac na terenie Ukrainy, gdzie na początku roku 1918 Hołówko znalazł się w charakterze emisarjusza politycznego z ramienia P. O. W. i P. P. S. — że ta cała pełna werwy opowieść nabiera nagle dramatycznych cech zmagania się Piłsudczyka, człowieka nawykłego do czynnej i odpowiedzialnej postawy wobec jutra — z ludźmi, którzy biernie oczekiwali na wynik zmagań wojennych, a potem na wynik zmagań rewolucyjnych.

Hołówko jest jednym z żołnierzy Piłsudskiego — których cała inwazja wyruszyła na Ukrainę w pierwszej połowie 1918 r.

Bo właśnie było tak, że gdy w kraju przemoc okupantów święciła triumfy, gdy obóz ugody i moskalofilski pod wpływem rewolucji w Rosji „zaczął coraz głośniej mówić, że żołnierz niemiecki — pomimo, iż jest wrogiem — jest jednak równocześnie obrońcą i stróżem europejskiej cywilizacji i ładu społecznego“ — wtedy to obóz niepodległościowy „idąc drogami polskiej powstańczej tradycji“, zaczął szukać możliwości stworzenia własnej siły zbrojnej poza krajem, w Rosji, objętej rewolucją. Ta siła zbrojna „wkraczając do Polski, reprezentować miała te same społeczne i polityczne ideały, co legjony Piłsudskiego“.

Widownią, na której mają się rozstrzygnąć te w przyszłość prowadzące zdarzenia, staje się Ukraina. Tam właśnie na tej żyznej ziemi, na rozmiękłych w wiosennych roztopach szerokich gościńcach, wysłańcy P. O. W. i I brygady będą się starali skupić i zogniskować myśl wydźwignięcia polskiej siły zbrojnej.

Na tem osobliwem teatrum, w tej osobliwej chwili, kiedy „niema ni wojny, ni pokoju“, kiedy już wygasa jedna rewolucja, a jeszcze nie rozpaliła się druga, kiedy noce rozświetlają łuny płonących wsi i kiedy niewiadomo, kto tu dzierży władzę i kto dyktuje prawa — tu właśnie rozegrywać się będzie bolesna tragedja słabości, nieprzemyślanych decyzyj, lękliwych wycofań, niespełnionych przyrzeczeń.

Bo przecież twardo i boleśnie musiał zaplątać się węzeł zdarzeń, gdy emisarjusz organizacyj powstańczych z Warszawy stanie oko w oko z dowódcą II korpusu, generałem Michaelisem — by mówić z nim o konieczności tworzenia do walki z Niemcami silnej, demokratycz-

nej armji polskiej, niosącej na ostrzach swych bagnetów słowa wolności i niezawisłości.

Głoszona przez Hołówkę koncepcja polityczna była chwytana z entuzjazmem, z całkowitem zrozumieniem jedynie przez tych, którzy mieli proste, prawe i śmiałe wyczucie tej niebywale korzystnej sytuacji, która sama narzucała oczywistą konieczność budowania polskiej siły zbrojnej, zwróconej frontem przeciw Niemcom i Austrji.

Ale czy mogli pojąć mowę emisarjusza politycznego P. O. W. i P. P. S. ci, dla których Polska była niespodziewanym i nieoczekiwanym wybrykiem losu, z którą trzeba było dopiero zżywać się powoli, jak z koniecznością, w głębi serca miłą — ale jakże trudną do zrozumienia.

Podkreślić należy z głębokiem uznaniem takt i umiar, z jakim autor wspomnień zdaje relacje z tamtych zdarzeń. Może właśnie dlatego, że Hołówko ogranicza się li tylko do powściągliwego stwierdzania faktów, że czuwa, by nie wypaść z roli narratora, odtwarzającego ze skrupulatnością całą zawiłość owych spraw, może właśnie dlatego książka ta ma karty niezapomniane, odsłaniające z rewelacyjną siłą dzieje owej pamiętnej wiosny z 1918 roku. Książkę Hołówki, pisaną słowem oszczędnem i powściągliwem, ma doskonałą werwę i tempo. Mamy tu cały szereg kapitalnych scen, jak np. scena wieczerzy w ogromnej sali jadalnej w pałacu Potockich w Antoninach: „Było to — opowiada autor — przypadkowe skupienie rozbitków z różnych pułków rosyjskich, szukających tu przystani i wytchnienia po przejściach w zrewoltowanej armji. Tematem rozmów były opowiadania kilku oficerów, powracających właśnie z karnej wyprawy do sąsiedniej wsi, która napadła na jeden z folwarków

ordynacji Potockich". „Nie mogłem doczekać końca kolacji! Dusiłem się w tej atmosferze i w tem towarzystwie, które również patrzyło na nas przybyszów z nieukrywaną niechęcią i nieufnością".

Istotnie! Aż nazbyt łatwo Polska zmalała, skurczyła się do rozmiarów jednej wielkopańskiej rezydencji, której broniło się kondotjerskim humorem żołnierzy bez jutra.

„Jakie ogromne perspektywy rozwoju miał przed sobą korpus II — pisze z goryczą Hołówko — jaką mógłby stać się siłą, gdyby dowództwo jego objął wódz, mający zaufanie żołnierzy, wierzący w słuszność i realność swego dzieła i umiejący wykorzystać sytuację". Takiego wodza nie miały i pozostałe korpusy.

Wielkie możliwości rozwoju, cnota żołnierska podkomendnych — zostały zmarnowane!

Nie po raz pierwszy w dziejach Polski. Zaiste nie po raz pierwszy!

Dlatego też historję trzech polskich korpusów dołączyć należy do tragicznych kart tych dziejów porozbiorowych, kiedy to była możność stworzenia realnej siły, był dobry i wierny żołnierz, była broń i materjał wojenny — ale nie było woli zwycięstwa. — Nie było wodza.

Dzieje tych trzech korpusów są całkowicie różne od dziejów legjonów Piłsudskiego, które prowadził Wódz drogą ciężką i nieraz ponad miarę trudną — ale drogą siły i zwycięstwa.

Ta refleksja narzuca się każdemu czytelnikowi, który po przez barwny bieg opowiadania spojrzy uważniej w głębszą treść książki Tadeusza Hołówki. Jest w niej bowiem tak charakterystyczny dla ludzi obozu niepodle-

głościowego kult dla epickiej atmosfery bohaterstwa i romantyczna nienawiść dla słabości tych, którzy uginając się pod brzemieniem jutra, walącego się czarną masą wydarzeń, nie byli w stanie niczego opanować, ani nawet niczego przewidzieć.

Wanda Pełczyńska

Tygodnik „Wiadomości Literackie“ numer z dnia 25 stycznia 1931, recenzja pióra Józefa Wasowskiego, p. t. „Wspomnienia emisarjusza“:

Arcyciekawy dokument niedawnej przeszłości. Poruszone tu sprawy, w pewnym momencie wielce doniosłe i tragiczne, już nie istnieją. Przyszła nowa fala wydarzeń, zmieniło się wszystko. Mnogość owych wydarzeń i tempo życia politycznego naszych czasów sprawia, że „niedawna przeszłość“ wydaje się niezmiernie oddalona. Stan rzeczy z r. 1918 — to już historja. Piszą ją nie szperacze archiwalni, nie historycy, lecz naoczni świadkowie, uczestnicy walk minionych. Przez to ten dział „historji“ tak pulsuje życiem. I przez to też czyta się książki z tego zakresu ze szczególnem uczuciem: aktorzy już rozegranego dramatu dziejowego żyją, są nam znani, a niejeden z czytelników może znaleźć ślad swego udziału w opisanych sprawach, stwierdzić prawdziwość lub nieścisłość relacyj.

Największą przyjemność sprawiają te wspomnienia, które spisane są uczciwie, bez animozji, niezależnie od stosunków dzisiejszych, więc bez stronniczych porachunków. Szło się kilkanaście lat temu z dzisiejszym wrogiem, uznawało się jego zasługi. Czy je pomniejszyć dlatego, że to dzisiaj wróg? Niejedno pióro pracuje w tym kierunku i zniekształca obraz przeszłości. Tej

brzydkiej rzeczy p. Hołówko nie popełnia. Przeciwnie jego wspomnienia odznaczają się rzadką u nas bezstronnością. A że duch bezstronności został z naszego świata politycznego radykalnie wypłoszony, że politycy zawodowi odzwyczaili się od sądów rzeczowych i sprawiedliwych, niejedna stronica książki p. Hołówki może być przez nich uważana za sensację. Kiedy np. p. Hołówko, żarliwy, możnaby powiedzieć — fanatyczny piłsudczyk, pisze z entuzjazmem o pewnem wystąpieniu posła Strońskiego.

Tem większej wagi nabierają słowa potępienia, jakich p. Hołówko nie szczędzi kilku postaciom, które wówczas odgrywały rolę bardzo wybitną. Kto potrafi chwalić swego przeciwnika, budzi wiarę, że jest sprawiedliwy również, kiedy wydaje sądy najsurowsze. Okazji potemu ma p. Hołówko sporo. W chwilach zamętu i niepewnej sytuacji politycznej słabe charaktery załamują się i przegrywają moralnie, a taka nadewszystko niepewna, chaotyczna, pełna niespodzianek była sytuacja r. 1918, kiedy wojska niemieckie posuwały się w głąb Rosji. Oto np. dwie sceny: „Proszę pana, — oświadczył mi uroczyście gen. Michaelis, — może pan być spokojny. Daję panu słowo generała, że gdzie stanie stopa niemiecka, tam mnie nie będzie". Mówiąc to, wyciągnął do mnie rękę na potwierdzenie swego przyrzeczenia. Serdecznie uścisnąłem rękę generała, naiwnie wierząc w szczerość i powagę tych słów. To też musiałem mieć wyjątkowo głupi wyraz twarzy, gdy w trzy tygodnie później stanąłem jak wryty na ulicy Kijowa, ujrzawszy roześmianego gen. Michaelisa, jadącego wojskowym autem razem z niemieckim generałem... Dn. 7 marca wyruszył gen. Michaelis „komu-

nikiem“ do Płoskirowa. Stamtąd w pociągu, „wypełnionym — jak pisze — austrjackimi wojskowymi“, wprost do Kijowa, aby tam rozpocząć niezwłocznie konferencje z niemieckim sztabem generalnym. Taki był koniec uroczystego przyrzeczenia i słowa generalskiego, danego dn. 27 lutego w Antoninach przez gen. Michaelisa delegatowi obozu komendanta Piłsudskiego“ (str. 133 i 135).

Pan Hołówko nadmienia: „Jeśli więc tacy ludzie, jak gen. Dowbor-Muśnicki, gen. Michaelis i gen. Stankiewicz stanęli na czele formacyj w Rosji, nie mogły one skończyć swej historji inaczej niż skończyły. Winę jednak za to ponosi przedewszystkiem polski obóz demokratyczny w Rosji, który swoim negatywnym stosunkiem do wielkiej sprawy tworzenia armji polskiej w Rosji oddał ją w ręce Narodowej Demokracji i dawnych carskich generałów, należących całą swą psychologją i poglądami do epoki, rozsadzonej i obróconej w gruzy przez rewolucję“... (str. 136). Wysuwając ten zarzut pod adresem polskiego obozu demokratycznego w Rosji, stwierdza jednak p. Hołówko kilkakrotnie i znowu z całą bezstronnością, że „obóz niepodległościowy i demokratyczny w kraju zgadzał się w tej sprawie całkowicie z Radą Międzypartyjną, skupiającą żywioły z pod znaku Narodowej Demokracji“ (str. 121). I jeszcze dobitniej: „Jedynie Narodowa Demokracja wraz ze swymi zwolennikami, występując pod firmą Rady Międzypartyjnej, zajęła wyraźnie pozytywne stanowisko w sprawie tworzenia armji“ (str. 252). Jedno to z ogniw całego łańcucha paradoksów, z jakiem miał do czynienia p. Hołówko, którego celem było uzgodnienie stanowiska polskiego obozu demokratycznego w Rosji z postawą obozu niepodległościowego w kraju. Był to mo-

ment, kiedy obóz niepodległościowy zerwał już wszystkie nici, łączące go z państwami centralnemi, i dążył do stworzenia armji polskiej w Rosji. Narodowej Demokracji chodziło o to samo, związała się jednak z generałami, których rolę niedwuznacznie charakteryzuje p. Hołówko. Postępkom ich sprzyjała jednak atmosfera ogólna.

Część oddziałów polskich zajęta była obroną majątków, niszczonych przez chłopstwo. Gen. Michaelis rezydował ze swojem wojskiem w Antoninach, gdzie „przeważali oficerowie ze sfer okolicznego ziemiaństwa, którzy z rozkoszą toczyli walki z chłopstwem, mszcząc się w ten sposób za swoje zrujnowane i spalone majątki, których niszczenie było często połączone z mordowaniem ich bliskich i krewnych“ (str. 123). Lecz ta rola, zrozumiała zresztą w takich warunkach, usuwała na bok zadanie najważniejsze i dla celu największego: tworzenia armji polskiej i walki o niepodległość. Wszakże na przeszkodzie stał tu przedewszystkiem tragiczny splot okoliczności: „Jedni, nie mogąc się pogodzić z uciskiem okupantów, opuszczali Polskę, aby salwować swój honor żołnierski. Pomocy do walki o niepodległość szukali w rewolucyjnej oRsji. W rewolucji rosyjskiej widzieli swego sojusznika w walce o obalenie władzy zaborców i najeźdźców. Drudzy od tej rewolucji separowali się, zdążali do kraju, widząc w okupantach tę siłę, która zatrzymała fale rewolucji i anarchji u bram Polski. Wierzyli bowiem, że ci okupanci pozwolą im, zmęczonym tułaczom, na zasłużony wypoczynek przy ogniskach rodzinnych w atmosferze ładu i porządku społecznego“ (str. 214). Z takim stanem rzeczy zetknął się p. Hołówko, emisarjusz P. P. S., i szukał wyjścia z błędnego, zaiste, koła.

Wspomnienia jego mają jednak wartość nietylko dokumentu, rzucającego sporo światła na ówczesne sprawy polskie w chaosie rosyjsko-ukraińskim. Pan Hołówko zajmuje się również tym chaosem i wydobywa zeń szereg wymownych scen i scenek. Oddane są znakomicie, w doskonałych skrótach, można je zaliczyć do „literatury faktów“ w najlepszym stylu. Mamy tu rzeczy pełne humoru, jak opis zabawy w młynie pod Tywrowem (str. 171—176) i spotkanie z bandą chłopów (str. 185), lub pełne grozy, jak wędrówka poprzez wymarłe wsi (str. 190—192) oraz wielce interesujące dygresje autobiograficzne (str. 203—206).

Józef Wasowski

W tygodniku „Echo Tygodnia“ — nr. z dnia 5 czerwca, artykuł p. t. „Przez dwa fronty“:

W przedmowie do swojej pięknej i mądrej książki pod powyższym tytułem p. Tadeusz Hołówko powołuje się na słowa Marszałka Piłsudskiego: „A wy, leguny, to się strzeżcie, bo i was fałszują; dlatego ostrzegam, bo kiedyś was mogą zohydzić i to w niedalekiej może przyszłości; strzeżcie się, leguny, i piszcie swoje dokumenty“. Słowa te, wyrzeczone przez Wielkiego Budowniczego Polski Niepodległej na VI zjeździe Legjonistów, były dla autora, jak powiada, nakazem moralnym, zniewalającym go do opisania „w sposób możliwie jaknajbardziej objektywny“ wypadków, których byś świadkiem i uczestnikiem, gdy jako emisarjusz polityczny odbył w 1918 roku podróż do Rosji.

Książka „Przez dwa fronty“ jest pamiętnikiem z czasów tej podróży, pamiętnikiem, stanowiącym jeden z cennych dokumentów historycznych niewyjaśnionej dotychczas należycie, przełomowej w dziejach Polski chwili, gdy „zmaganie się między rewolucją rosyjską, a państwami centralnemi przeniosło się z dziedziny walki orężnej w dziedzinę walki idejowej“ i w tych warunkach, dzięki ofiarnym wysiłkom odważnych polaków, którzy przedarli się po przez front wgłąb Rosji, zaczęto realizować tam wielką ideję stworzenia armji polskiej w Rosji dla walki

z wojskami państw centralnych. Autor był wówczas jednym z tych ludzi. Z ramienia Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S. oraz organizacji P. O. W. wyjechał on w styczniu 1918 roku z Warszawy przez Lwów i Tarnopol do Rosji, zaopatrzony w następujący mandat, podpisany przez Jędrzeja Moraczewskiego i Rydza-Śmigłego: „Ob. Tadeusz Hołówko pod pseudonimem Tadeusza Horodyńskiego udaje się do Rosji, jako przedstawiciel obozu niepodległościowego Komendanta Piłsudskiego, i jemu jedynie Moraczewski i Rydz-Śmigły dają wyłącznie prawo przemawiania w imieniu tego obozu na terenie Rosji, każdy inny, należący do tego obozu, a znajdujący się już w Rosji, lub przybywający później, ma prawo przemawiać w imieniu obozu Komendanta Piłsudskiego jedynie w tym wypadku, jeżeli otrzyma na to upoważnienie na piśmie od ob. Hołówki". Misja ob. Hołówki miała charakter polityczny. Chodziło o porozumienie się z dowództwami istniejących już na terenie Rosji jednostek wojskowych polskich celem ustalenia wspólnych wytycznych w polityce oraz z władzami sowieckiemi celem określenia stosunku tych władz do tworzącej się na terenie Rosji polskiej siły zbrojnej. Zadanie to było trudne i niebezpieczne. O tych niezliczonych trudnościach i niebezpieczeństwach dowiadujemy się, czytając „Przez dwa fronty", a w miarę wczytywania się w te proste opowiadania nabieramy przekonania, że autor, unikając wszelkiej przesady i przejaskrawienia, napisał swoją książkę istotnie w sposób możliwe jaknajbardziej objektywny, starając się dać przedewszystkiem lapidarną charakterystykę wybitniejszych działaczy polskich, z którymi zetknęły go losy, oraz charakterystykę panujących ówcze-

śnie stosunków w polityce Polski względem Rosji, państw centralnych i koalicji. Jego bystre i wnikliwe uwagi krytyczne rzucają sporo nowego światła zwłaszcza na psychikę i działalność ludzi, w których rękach spoczywało wówczas dowództwo nad wojskiem polskiem w Rosji, a więc generałów Dowbora-Muśnickiego, Michaelisa, Hallera i Stankiewicza. Krótkowzroczność w ocenie wydarzeń politycznych, kompromisowość i wygórowana ambicja osobista oto główne cechy, które p. Hołówko przypisuje tym ludziom, nie szczędząc ich, jako że zaprzepaszczali, jego zdaniem, wielkie dzieło tworzenia polskiej siły zbrojnej, gromadząc pod swoją komendą żywioły chwiejne i obojętne.

II-ga Brygada, przezwana Żelazną, która pod wodzą gen. Hallera przedarła się przez front rosyjski, uchodząc z Austrji do Rosji, „stanowiła, według p. Hołówki, element wartościowy, którego jednak nie zdołał spożytkować dla sprawy polskiej gen. Haller. Niestety, — czytamy — brygadjer Haller tego wszystkiego nie rozumiał, bo silniejsze było w nim poczucie fałszywej ambicji, manji wielkości, strach przed nawiązaniem łączności z I-szą Brygadą i koniecznością wyraźnego ustosunkowania się do Komendanta, któremu przez tyle czasu przeciwstawiał się, i którego autorytetu nie chciał uznać. A tembardziej teraz, gdy tamten był obezwładniony w dalekiem więzieniu, a tu aureola bohaterskiej determinacji, swoboda działania i decyzji wśród chaosu i rozgardjaszu organizacyjnego formacyj wojskowych, które pozbawione istotnych autorytetów i dowódców, szukały, tęskniły za prawdziwym wodzem“.

Interesujące jest również i to, co p. Hołówko pisze

o działalności P. P. S. w Rosji, i o jej stosunku do rewolucji bolszewickiej. Przykuwają uwagę żywo i barwnie kreślone sylwetki poszczególnych działaczy, jak np. pułkownika Barty, Miedzińskiego, Muszkiet-Królikowskiego i innych, albo znów, z drugiego bieguna, takiego np. rotmistrza Jaworskiego, stanowiącego jakby powtórne wcielenie Kmicica. Doskonale wprowadzając in medias res wyjaśnienia, jakich autor udziela na wstępie co do sytuacji w Polsce u schyłku 1917-go roku oraz pobudek, które pchały wówczas naszych niepodległościowców do Rosji i tam kazały szukać oparcia dla pracy niepodległościowej.

Całość stanowi zajmującą lekturę nietylko dla szperaczy zapisków pamiętnikarskich, lecz dla każdego, komu leży na sercu wielka sprawa zdobycia niepodległości. Poza tem książka p. Hołówki jest cennym dokumentem historycznym.

A.

Poza przytoczonemi na poprzednich stronicach in extenso krytykami, feljetonami i artykułami, poświęconemi I-emu tomowi wspomnień „Przez dwa fronty", znalazł on i jego autor liczne odgłosy na łamach prasy codziennej i perjodycznej.

Wymienićby tu należało artykuł w nr. 45 z dn. 15 lutego 1931 „Kurjera Łódzkiego"; dłuższą notatkę w nr. z dn. 17 stycznia 1931 tygodnika „Myśl Niepodległa" stwierdzającą, iż:

> **Autor świetnie odtworzył tło i dał pełny wyrazu przekrój stosunków, panujących podówczas na Podolu i Ukrainie. Znajdujemy tam również dużo materjału do historji polskich formacyj wojskowych, zgrupowanych w Antoninach i Sorokach. Pan Hołówko zapowiada dalszy ciąg wspomnień, poświęconych podróży z Kijowa do Moskwy. Kto przeczyta ich część pierwszą, ten będzie oczekiwał następnej z prawdziwą ciekawością.**

Nadto nader gorący odzew w nr. 59 z dn. 13 marca 1931 „Messager Polonais", obszerne notatki bibljograficzne w szeregu dzienników i wreszcie dwa dłuższe szkice na łamach „Pamiętnika Warszawskiego" (nr. majowy) i „Przeglądu Współczesnego" (nr. październikowy),

poświęcone raczej autorowi, niż jego dziełu i przeto nie przytoczone na tem miejscu, jako należące do szeregu przyczynków biograficznych ś. p. Tadeusza Hołówki, wyrosłych na dalekim marginesie pierwszego tomu Jego wspomnień.

Z pośród licznych odgłosów prywatnych, jakie ś. p. Tadeusz Hołówko otrzymał po wydaniu wspomnień, pod postacią — często bardzo wzruszających — listów, odnaleźliśmy m. in. od p. Artura Śliwińskiego:

Szanowny Panie Tadeuszu!

Dziękuję Wam za miły dla mnie dowód pamięci, winszuję dokonanej pracy i życzę, aby czas pozwolił Wam zamiar swój doprowadzić do końca i drugą część wspomnień najprędzej ogłosić drukiem. Tego rodzaju prace stanowią bardzo ważny materjał dla zobrazowania epoki, a warto, by wysiłki i przeżycia pokolenia, które miało szczęście zatrzasnąć wrota niewoli, nie zginęły dla przyszłych dziejopisów.

Wspomnienia uczestników wielkich wypadków dziejowych są jakby żywą krwią, której pulsowanie ożywia archiwalne źródła i dokumenty, pozwala je lepiej zrozumieć i ocenić. Bez szumu tej krwi ludzie i zdarzenia nie mogą mieć właściwego wyrazu i tej wymowy, jaką daje obraz przeżyć i wzruszeń osobistych.

Praca Wasza, jak to widzę z pobieżnego narazie przejrzenia, dzięki swej bezpośredniości i bezpretensjonalnemu traktowaniu tematu, bardzo ciekawa dla nas ze wzglę-

du na niedawną przeszłość, ma zapewnione życie w przyszłości, a to jest najważniejsze.

Łączę przy tej okazji najlepsze życzenia noworoczne i uścisk dłoni.

Artur Śliwiński

Warszawa, d. 1.I.1931.

Od p. generała Rydza-Śmigłego:

Szanowny Panie Prezesie!

Dziękuję serdecznie za przysłaną mi książkę o dolach i niedolach peowiackich. Książka bardzo żywo i bezpośrednio oddaje ówczesną atmosferę i ludzi.

Powinna wzbudzić duże zainteresowanie wśród czytelników i spełnić dobrą rolę dokumentu historycznego.

Mocno ściskam dłoń.

Śmigły Rydz

Warszawa, 20.I.1931.

I od p. Jędrzeja Moraczewskiego:

Kochani!

Darujcie, że tak późno, ale gdybyście znali mój listopiso-wstręt, to byście wybaczyli bardzo prędko moje milczenie.

Całuję Was serdecznie za wspaniały dar, jakim była książka niejakiego Tadeusza Hołówki: „Przez dwa fronty". Przeczytałem ją natychmiast — przyznam się —

jednym tchem. Odłożyłem ją, po przeczytaniu, o 3-ej rano.

Teraz krytyka. Tytuł nie odpowiada treści. Jest w niej mowa o jednym tylko froncie. Gdzie drugi?

Więc w tytule winno być: I, to znaczy czekam z niecierpliwością na II część.

Jeszcze raz całuję Was serdecznie za rozkosz, której przez Was doznałem.

Cześć!

Jędrzej Moraczewski

Sulejówek, 19.II.1931.

SKOROWIDZ NAZWISK

do I i II tomu Pamiętników

Anusz Antoni t. I — 74.
Antoniewicz pułk. t. I. — 106.
Arciszewski Tomasz („Stanisław") t. I. — 4, 259.

Barthel de Veydenthal („Barta") t. I — 24, 25, 28, 29, 30, 158, 160, 162, 168, 169, 170, 171, 180, 184, 186, 188, 189, 193, 194, 198, 199, 207, 211, 213, 218, 230, 231, 232, 233, 234, 235, 237, 240, 241, 242, 256, 260, 266, 267, 268, 272, 273.
Bartoszewicz t. I — 136.
Bartak ppor. t. I — 160.
Barski Roman (Tadeusz Zuliński) t. I — 257, 259.
Bagiński Henryk t. I — 265.
Besseler gen. t. I — 248.
Berezowski t. I — 238, 239.
Birnbaum ppor. t. I — 220, 237.
Bieniecki Stefan t. I — 242, 272, 273.
Bobicki Leon t. I — 212, 213, 219, 220, 221, 222, 226, 227, 232.
Bromirski Józef (Jot) t. I — 242, 258, 259, 260.

Ceretelle t. I — 243.
Chłopicki Antoni t. I — 252, 256.
Chopin t. II — 45.
Chrzanowski Zygmunt t. I — 15.
Chrzanowski Ignacy prof. t. I — 23.
Czaki Tytus t. I — 26.
Czabanowski t. I — 27, 35, 36, 38, 39, 40, 42, 46.
Czartoryski Adam t. II — 45.
Czernin hr. t. I — 19.
Czcheidze t. I — 243.
Czyżewski Władysław t. I — 244, 253.

Daszyński Ignacy t. I — 23, 246.
Derewojed Michalina t. I — 25, 71, 72, 161.
Diamand t. I — 23.
Domosławski Kazimierz t. I — 74, 236, 237, 240, 242, 244, 253, 273, 274, t. II — 3, 7, 55.
Dowbór-Muśnicki gen. t. I — 94, 126, 134, 136, 137, 157, 158, 168, 223, 230, 255, 262, 263, 265, 272,
Duchonin gen. t. I — 256.

Engel rotmistrz t. I — 90, 123.
Erenberg kap. t. I — 207, 208, 211.

Fedecki Władysław t. I — 244.
Fredro t. II — 76.

Girdwoyn dr. t. I — 108.
Glass gen. t. I — 228.
Gniady maj. t. I — 93, 221, 222.
Gogol t. II — 76.
Grocholski hr. Remigjusz t. I — 120, 121, 122.
Grocholski hr. Zdzisław t. I — 77, 167.
Grzebski t. I — 194.

Habsburg t. I — 9, 39, 47, 50, 51, 214.
Haller Józef bryg. t. I — 80, 83, 92, 93, 94, 95, 98, 160, 208, 218, 219, 221, 224, 225, 226, 229, 230, 231, 232, 233, 234, 235, 256, 266.
Horodyński Tadeusz (Hołówko) t. I — 28, 29, 46, 47, 48, 122, 132.
Hoffman gen. t. I — 8.

Jaworski t. I — 77, 114, 117, 127, 128, 129, 130, 131.
Jaroszyński Franciszek t. I — 77, 167.
Jakubowski kap. t. I — 98, 103, 105, 109, 110, 112, 113, 115, 117, 122, 149, 152, 153, 154, 155, 158, 160.
Jaworowski t. I — 127.
Jędrzejewicz Tadeusz t. I — 259.
Jędrzejewicz Janusz t. I — 13.
Józefski Henryk t. I — 259.

Kaczkowski t. I — 41, 42, 43, 46,
Kiczeński t. I — 1, 5, 251, 252.
Klott Marjan t. I — 13.
Koc Adam t. II — 65, 67.
Komarowski hr. t. II — 39.
Korczak Józef („Piotr") t. I — 4.
Kozicki Włodzimierz t. I — 25, 27, 30, 35, 37, 42.
Korf baron t. II — 38.
Korsak Władysław t. I — 74,171, 244, 253, 254.
Kożuchowski J. t. I — 263.
Kozicki t. I — 27, 28.
Krylenko t. I — 31, t. II — 59, 76, 77, 83.
Królikowski Henryk „Muszkiet" t. I — 73, 74, 79, 83, 85, 86, 89, 90, 95, 98, 103, 110, 112, 113, 117, 127, 131, 134, 136, 149, 151, 153, 154, 155, 158, 160.
Kucharzewski J. prof. t. I — 3, 7.
Kunowski Włodzimierz t. I — 29, 245, 246, 247, 249, 250, 251, 252, 258, 264.
Kuszel t. I — 160, 165, 169.
Kuncman pułk. t. I — 168, 169, 170, 171, 180.
Kwapiński Jan t. I — 74.

Lednicki Aleksander t. I — 9, 251, 252, 253.
Lech t. I — 56, 59.

Lelewel t. II — 45.
Leśniewski gen. t. I — 115, 117, 144.
Lenin t. I — 8, 106, 147, 157, 158, t. II. 75, 76, 84, 110, 111.
Lisiewicz Adam t. I — 16, 19.
Libkind Jan t. I — 74, 242, 243, 244, 272, 274.
Lis-Kula t. I — 256, 260, 261, 265, 266.

Mańkowski Mieczysław t. I — 4.
Malinowski Tadeusz t. I — 93.
Max, burmistrz Brukselli t. I — 38.
Michalik t. I — 30.
Michaelis gen. t. I — 115, 120, 121, 122, 123, 126, 131, 133, 134, 135, 136, 139, 144, 170, 272.
Mikołaj I t. I — 6.
Miedziński Bogusław t. I — 237, 256, 257, 260, 262, 263, 265, 266, 267, 268, 273, t. II — 66.
Moraczewski Jędrzej t. I — 21, 24, 27, 28, 30, 32, 33, 34, 72, 115, t. II — 73, 80.
Mrozowski Jan t. I — 35,36, 40.
Mikołaj Mikołajewicz t. II — 106.

Nakoniecznikow dr. t. I — 220, 237.
Niemojewski Adam t. I — 206, 207.
Niemojewski Andrzej t. I — 206.
Nosalewski proboszcz t. I — 72.

Opioła t. I — 78, 160, 161, 162, 166.
Ostrowska t. I — 17.

Perl t. I — 246.
Pietrow, t. II — 71.
Piłsudski Józef, t. I — 4, 10, 28, 29, 71, 80, 84, 94, 107, 108, 132, 135, 213, 218, 226, 227, 231, 232, 234, 245, 247, 248, 250, 251, 253, 257, 259, 264, t. II — 66, 68.
Piotrowski Władysław t. I — 220, 237.
Piotrowski inż., t. I — 120, 122, 125, 127.
Piotrowicz Wasil t. I — 144.
Pławski Stanisław 244, 246.
Potocki ord. Antonin, t. I — 77, 130.
Popow, t. I — 83.
Próchnik Adam, t. I — 32.
Prystor Aleksander, t. I — 74, 243, 246, 250.
Pużak Kazimierz, t. I — 74, 243.

Raczkiewicz Władysław, t. I — 270, 271.
Radlińska Helena, t. I — 22, 29.
Roganowicz por., t. I — 79, 98, 99, 100, 101, 102, 109, 112, 160.
Rostworowski W. hr., t. I — 246.
Rudzki gen. t. I — 88.
Rypniewski ppor., t. I — 220, 237.
Rzymowski Wincenty, t. I — 93, 167, t. II — 33, 36.

Rydz-Śmigły, t. I — 24, 25, 28, 30, 72, 93, 115, 219, 226, 230, 231, 232, 233, 255, t. II — 73, 80.

Schaetzel Tadeusz, t. I — 256, 260, 268.
Sikorski ppor., t. I — 220.
Sienkiewicz, t. I — 201, 202, 203.
Siennicki, t. I — 30, 33, 34.
Sieroszewski Wacław, t. I — 227
Siwik Bronisław, t. I — 243, 245.
Skwarczyński Adam, t. I — 15, 21.
Skibiniewski Wacław, t. I — 113, 114, 117, 120, 149.
Skrzyński Konstanty, t. I — 125, 126, 127, 151, 158, 159, 160, 162, 163, 164, 165, 168, 171, 172, 173, 176, 183, 184, 185, 186, 188, 189, 191, 197, 198, 199, 207, 208, 230, 238.
Skąpski Franciszek inż., t. I — 257, 258.
Śliwiński Artur, t. I — 28.
Śliwiński Hipolit, t. I — 29.
Sławek Walery, t. I — 259, t. II — 66.
Słowacki, t. II — 45.
Sołłohub, t. I — 218.
Sobański dr., t. I — 220,237.
Stroński Stanisław, t. I — 22, 23,
Stankiewicz gen., t. I — 137, 208, 211, 212, 213, 219, 223, 224, 226, 228, 266.
Stempowski Stanisław, t. I — 166, 167, 169.
Stołypin, t. II 97, 101.
Świtalski Kazimierz, t. I — 21, 30, 32.
Sulkiewicz Aleksander, t. I — 259.
Szturm de Sztrem Tadeusz, t. I — 16, 17, 89.

Tarnowski Adam hr., t. I — 3.
Toll hr., t. I — 163.
Tołwiński Stanisław, t. I — 259.
Trocki, t. I — 8, 157.

Wakar Włodzimierz, t. I — 15.
Waniczkówna t. I — 32.
Wasilewski Leon, t. I — 28.
Wilson, t. I — 8.
Wiśniewski, t. I — 48.
Wilhelm II, t. I — 6.
Wiśniowiecki, t. I — 48.
Wierczak, t. I — 238.
Wołk, t. I — 115, 117, 122.

Zając pułk., t. I — 93.
Zdanowicz, t. II — 66.
Zdziechowski Jerzy, t. I — 126, 230, 262.
Ziemięcki Bronisław, t. I — 13, 14, 246.
Zubowicz Piotr adw., t. I — 265.

SPIS RZECZY

	Str.
Przedmowa	V
Przez front ukraińsko-bolszewicki	1
Ciężkie refleksje na tle ponurej rzeczywistości	17
Pierwsze zetknięcie z sowieckim reżymem	53
Moskwa	91
Recenzje i listy	113
Skorowidz nazwisk	153

NAJPOCZYTNIEJSZE KSIĄŻKI:

	Zł.
Augustynowicz Jan. *Ksiądz Prot.* Historja ludzka. Wydanie trzecie, na nowo przez autora opracowane	4.80
— *Piekło.* Pieśń życia i śmierci	8.—
Bartkiewicz Z. *Trzy opowieści*	6.50
Giżycki K. *Przez Urjanchaj i Mongolję.* Z rycinami. 2 tomy. Wydanie II	7.—
Górski Ar. *Glossy o ludziach i ideach*	10.—
— *Saga o Gislim, wyjętym z pod prawa*	10.80
Jeleńska E. *Dwór w Haliniszkach.* Powieść współczesna. 2 tomy. Wydanie II	10.—
Kozicka-Dunin M. *Burza od Wschodu.* Wyd. II z ryc. . . .	7.—
— *Ania z lechickich pól. Dziecięctwo.*	8.—
Kudliński T. *Smak świata.* Powieść. Wydanie II.	6.—
Łubieński H. *Rycerze śmierci.* Powieść z 1863 r. Wyd. II . .	6.80
Marion. *Rozbite gniazda.* Opowieść o szarych ludziach . . .	4.80
Nikorowicz I. *Nieśmiertelny kochanek.*	3.—
Pollak J. Dr. *Zbłąkany pielgrzym.* Powieść. Wyd. II . . .	6.—
Relidzyński J. *Powrót z tamtego świata.* Wyd. II	7.50
Rzewuski A. hr. *Ze strzelbą na ramieniu*	8.—
Szaniawski J. *Adwokat i róże. Żeglarz. Ptak*	6.50
Witkiewicz St. Ign. *Nienasycenie.* Powieść, 2 tomy	18.—
Wyrzykowski St. *Moskiewskie gody. I. Wilki pod murami Kremla*	10.—
— Cz. II i III. *Zwycięskie słońce. Krwawy zmierzch* . . .	12.50
Zaborowski St. *W sercu kniei.* Opowieści myśliwskie. Wydanie II	7.20
Zahorska A. (Savitri). *Trucizny.* Powieść współczesna. Wyd. II .	5.60
Żmichowska N. *Czy to powieść?* Z przedmową Boy'a . . .	6.50
— *Biała róża.* Powieść z przedmową Boy'a	4.80
— *Poganka.* Powieść	3.—
— *Narcyssa i Wanda. Listy do Wandy Grabowskiej.* Wydał i wstępem poprzedził T. Żeleński (Boy)	12.—

(Żądajcie szczegółowych katalogów)

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

SP. AKC. W WARSZAWIE, PLAC TRZECH KRZYŻY 8

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO

(WIESŁAWA SCLAVUSA)

Czytać należy w następującej kolejności:

KRÓLOBÓJCY. Tragiczne dzieje carów rosyjskich. Z rycinami. Wydanie IV. 10.—, w ozd. opr. 13.—

MIŁOŚĆ KRÓLEWICZA. (Pułaski). 12.—, w ozd. opr. 15.—

CZARNY GENERAŁ. Powieść hist. z czasów napoleońskich. Wyd. II. 9.—, w ozd. opr. 12.—

HURAGAN. Powieść hist. z czasów napoleońskich w 3 tomach. Wyd. V. 18.—, w ozd. opr. 27.—

ROK 1809. Powieść hist. z czasów napoleońskich w 2 tomach. Wyd. IV. 10.—, w ozd. opr. 16.—

SZWOLEŻEROWIE GWARDJI. Powieść hist. z czasów napoleońskich. Wyd. III. 7.—, w ozd. opr. 10.—

PANI WALEWSKA. Powieść hist. z czasów napoleońskich w 2 tomach. Wyd. IV. 18.—, w ozd. opr. 24.—

KSIĘŻNA ŁOWICKA. Powieść hist. z czasów powstania listopadowego w 2 tomach. Wyd. II. 10.—, w ozd. opr. 16.—

BEM. Powieść hist. z czasów powstania listopadowego. Wydanie III. 8.—, w ozd. opr. 11.—

EMILJA PLATER. Powieść hist. z czasów powstania listopadowego. Wydanie II. 9.—, w ozd. opr. 12.—

HISTORJA ARMJI POLSKIEJ WE FRANCJI 1910—1915. 14.—, w ozd. opr. 17.—

W obecnej chwili drukujemy:

KRÓLOBÓJCY, wyd. V. — NOWA KOLCHIDA, rzecz o Ameryce współczesnej.

WYDAWNICTWO DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

PISMA ZBIOROWE
JOSEPHA CONRADA

(KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

z przedmową STEFANA ŻEROMSKIEGO, w tłumaczeniach polskich H. GAY, HAJOTY, W. HORZYCY, J. LEMAŃSKIEGO, L. PI[illegible]SKIEGO, T. PUŁJANOWSKIEGO, BB. RYCHLIŃSKIEGO, T. SAPIEŻYNY, J. SIENKIEWICZÓWNY, T. TATARKIEWICZOWEJ, S. WYRZYKOWSKIEGO, A. ZAGÓRSKIEJ i innych.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

I. SZALEŃSTWO ALMAYERA. Wyd. III	8.—
III. MURZYN Z ZAŁOGI „NARCYZA". Wyd. II	6.—
VI. MŁODOŚĆ. JĄDRO CIEMNOŚCI	6.—
VII. TAJFUN. Wyd. II	3.60
IX i IXa. NOSTROMO. 2 tomy	18.—
XV. MIĘDZY LĄDEM A MORZEM. Wyd. II	7.—
XVII. WŚRÓD PRĄDÓW	6.—
XVIII i XVIIIa. ZWYCIĘSTWO. Wyd. II. 2 tomy	15.—
XIX. SMUGA CIENIA. Wyd. II	4.80
XXI i XXIa. OCALENIE. 2 tomy	15.—
XXIII. KORSARZ. Wydanie II	[illegible]
XXIV. OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE	4.—

W ozdobnej płóciennej oprawie każdy tom o 3 zł. drożej.

W poprzednich wydaniach są jeszcze do nabycia:

IV. OPOWIEŚCI NIEPOKOJĄCE	4.80
XII. SZEŚĆ OPOWIEŚCI	6.—

Dalsze dzieła Conrada ukazywać się będą w wyd.

DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

Biblioteka
WAP
egz. 2
31117/2
Naukowa